O adopcji inaczej

O adopcji inaczej

Kielce 2018

Zespół redakcyjny pod przewodnictwem Anny Sokołowskiej-Smołkowskiej w składzie:
Beata Wieczorek, Katarzyna Janaszek-Papaj, Anna Włodarczyk – Świętokrzyski Ośrodek Adopcyjny

Książka powstała we współpracy z Departamentem Promocji, Edukacji, Kultury, Sportu i Turystyki oraz Biurem Komunikacji Społecznej – Urzędu Marszałkowskiego Województwa Świętokrzyskiego

Korekta
Joanna Majewska

Opracowanie graficzne
Vena Studio Andrzej Jędrychowski
tel. 603 114 695

Zdjęcie na okładce
Anna Ryń

Bajki
Kandydaci na rodziców adopcyjnych

Rysunki do bajek
Dzieci zaprzyjaźnione

W reportażach, opowiadaniach i listach zawartych w książce imiona bohaterów oraz szczegóły wydarzeń zostały zmienione

ISBN 978-83-65626-84-4

Wydawca
Świętokrzyski Ośrodek Adopcyjny
Urząd Marszałkowski Województwa Świętokrzyskiego
al. IX Wieków Kielc 3, 25-516, Kielce
tel. 41/342-15-30, fax: 41/344-52-65

Druk
Zakład Małej Poligrafii Rafał Nowakowski
os. Na Stoku 51 J 25-437 Kielce
tel. 41 362 39 00

Są dwie trwałe rzeczy,
które możemy dać w spadku
naszym dzieciom: pierwsza to
korzenie, a druga – skrzydła

W. Hodding Carter

Wstęp

Książka „O adopcji inaczej" stanowi próbę pokazania czytelnikom problematyki przysposobień dzieci w Polsce z różnych punktów widzenia. Zagadnienie to dotyka coraz większej liczby osób. Adopcja ma bardzo stare korzenie. Znana i popularna była już w starożytności. Wzmianki na jej temat można znaleźć w materiałach źródłowych wielu kultur. W polskim prawie temat adopcji (przysposobienia) funkcjonuje od XIII wieku. Współcześnie rozumiana jest jako uznanie obcego biologicznie dziecka za własne.

Dzięki publikacji będziecie mieli Państwo okazję poznać obrazy z życia przyszłych rodziców czekających na swoje dziecko, rodzin adopcyjnych, rodzin zastępczych, dorosłych dzieci przysposobionych przed laty i osób wychowywanych w pieczy zastępczej. Zajrzycie do ich domów, poznacie emocje, może otrzecie łzę. Otrzymacie także wyjątkową możliwość przeczytania listów rodziców adopcyjnych kierowanych do matek biologicznych swoich dzieci.

Zwieńczeniem wzruszających rozważań będzie lektura bajek autorstwa kandydatów na rodziców adopcyjnych. Są to opowieści pisane z myślą o przyszłych dzieciach, by wprowadzić je w tematykę adopcji i przygotować do poznania własnej historii życia.

Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do wydania tej książki, szczególnie jestem wdzięczna osobom, które podzieliły się swoimi przeżyciami.

Anna Sokołowska-Smołkowska

Podróż

Podróż

Anna Sokołowska-Smołkowska

Słychać było miarowy stukot kół uderzających w stalowe szyny, wagon charakterystycznie przechylał się na boki. Jechałam pociągiem z Kielc do Warszawy. Był rok 1990, a może 1991. Słońce przedzierało się przez zabrudzone szyby okna do głębi przedziału, w którym siedziały tylko dwie osoby: starsza Pani (wtedy tak o niej myślałam, dziś sądzę, że miała najwyżej pięćdziesiąt lat) i ja, psycholog z niewielkim stażem zawodowym. Obie zajmowałyśmy miejsce przy oknie, naprzeciw siebie.

Było bardzo ciepło, pociąg snuł się wolno po torach, pomimo że był to kurs pośpieszny. Wyjęłam z torby jakieś czasopismo. Nie pamiętam tytułu, w tych latach wszyscy upajaliśmy się kolorową prasą, była to nowość. Moja współtowarzyszka podróży otworzyła torebkę i zaczęła w niej czegoś intensywnie szukać. Sądziłam, że sięga po kanapkę czy termos z herbatą; wtedy jeszcze „na drogę" przygotowywało się picie w domu. Myliłam się. Kobieta wyjęła zdjęcie. Uśmiechała się pięknie, patrząc na podobiznę młodej dziewczyny, taki wyraz twarzy mają tylko dumne ze swych dzieci matki. Promienie słońca odbijały się od fotografii. Dostrzegłam tylko ogólny zarys postaci. Nie chciałam przyglądać się, aby nie być posądzoną o natarczywość czy zbytnią ciekawość. Pani pogrążona była w swych myślach. Oglądała zdjęcie z takim przejęciem, że nie śmiałam o nie zapytać ani nawet poruszyć się. Starałam się bezszelestnie przewracać strony pisma. Po chwili Kobieta sama zaczęła rozmowę.

– Wie pani, kto to jest? – zapytała.

– Nie – odparłam.

– To jest moja córka – kontynuowała. Jadę do niej. Studiuje w Warszawie. Już kończy. Będzie psychologiem.

Podniosłam oczy znad czasopisma. Rozmowa mogła być bardziej interesująca niż kolejny artykuł dotyczący nowych trendów w modzie i zalet kosmetyków (w Polsce w drogeriach zaczęły wtedy pojawiać się produkty światowych producentów). Szczególnie przykuła moją uwagę informacja o przyszłej profesji córki mojej rozmówczyni. Kobieta chyba zauważyła moją reakcję, bo zaczęła snuć opowieść.

– Wie pani, to jest moje dziecko adoptowane. Kocham ją bardzo – dodała szybko, jakby bała się, że może pomyślę, iż dziecko przysposobione to nie to samo co biologiczne. – Było to dwadzieścia lat temu – kontynuowała. – W lutym, wieczorem, pogotowie zabrało mnie do szpitala... Przyjechali szybko. Lekarka była młoda, sympatyczna, ale bardzo się bała, że nie jest w stanie mi pomóc. Byłam w ciąży, już trzeci miesiąc. Tak długo staraliśmy się z moim Stasiem o dziecko. Wtedy pięć lat minęło od naszego ślubu. Udało się. Byliśmy szczęśliwi. Nasi rodzice także bardzo ucieszyli się z perspektywy powiększenia rodziny. Mama zaczęła kompletować ubranka po dzieciach mojej o rok starszej siostry. Ona miała już dwójkę – syna i młodszą córkę. Kiedy pojawiły się bóle brzucha, mąż bardzo zdenerwował się. Niby mnie uspokajał, ale nie zapomnę jego przerażonych oczu. Natychmiast pobiegł do sąsiadów, aby wezwać pogotowie. Wtedy nie mieliśmy telefonu w domu. Teraz założyliśmy, bo przecież musimy mieć kontakt z córką, odkąd jest w Warszawie. Mieszka w akademiku.

Kiwnęłam głową, potwierdzając że rozumiem i słucham. Moja interlokutorka, z twarzą zarumienioną pod wpływem emocji, opowiadała dalej.

– Pani doktor zdecydowała, że koniecznie musimy jechać do szpitala. Boże, jak się bałam. Wierzyłam jednak, że wszystko będzie dobrze. W szpitalu zajęli się mną inni lekarze. Nie było dobrze. Podano mi środki nasenne i znieczulające. Gdy się obudziłam, była noc. Obok na łóżkach leżały jeszcze trzy kobiety. Spały. Zaczęłam wsłuchiwać się w ciszę. Nie wiedziałam, co tak naprawdę się stało. Usłyszałam kroki na korytarzu. Drewniaki (w takich chodził personel medyczny, nie znoszę tego odgłosu do dziś) uderzały o twardą podłogę. Poruszyłam się – wspominała moja towarzyszka podróży. – Lekarz, który szedł korytarzem, usłyszał. Zajrzał do sali. Powiedział, że niestety nie udało się uratować ciąży. Oniemiałam. To niemożliwe. Tylko nie to – opowiadała, zanurzona we wspomnienia. – Wykrztusiłam: gdzie jest mój mąż? Okaza-

ło się, że pojechał do domu. Nie mógł zostać na noc w szpitalu, takie były przepisy. Płakałam.

Mówiła dalej: – Starałam się być cicho, nie chciałam budzić śpiących obok mnie kobiet. Bezszelestny szloch rozrywał mi gardło. Rano, bardzo wcześnie, mąż był już przy mnie. Trzymał mnie za rękę, gdy się obudziłam po krótkiej drzemce, wyczerpana płaczem, odurzona lekami. Po dwóch dniach byłam w domu. Wróciłam do pracy. Nikt z rodziny ani znajomych nie poruszał tematu dziecka. Mój Stasiu także omijał problem. Wiedziałam, czułam, że nie będę już w ciąży. Niestety, potwierdził to lekarz, do którego poszłam.

Po krótkiej przerwie kobieta kontynuowała opowieść: – Któregoś dnia bardzo śpieszyłam się do biura, w którym pracowałam, podbiegłam do autobusu. Zdążyłam. Zmęczona siadłam obok mężczyzny, który czytał gazetę. Spojrzałam na tytuł artykułu: „On jest adoptowanym dzieckiem". Pamiętam to do dziś – powiedziała. – Nie wiem – wspominała – kogo dotyczyła treść, ale te słowa zaczęły pączkować mi w głowie. Nie mogłam doczekać się powrotu do domu. Gdy przyszedł mąż, zakomunikowałam mu prosto, bez ogródek: zaadoptujemy dziecko. Tyle maluchów czeka na rodziców. Są biedne, nieszczęśliwe, nie mają do kogo się przytulić. Mówiłam jeszcze wiele, wiele, wiele – chyba bałam się, że Stanisław przerwie mi i zaprzeczy, powie „nie" – opowiadała moja współpodróżniczka.

– Jak mąż zareagował? – zapytałam.

– Wie pani, nawet się nie spodziewałam takiej odpowiedzi – odparła. – Gdy dopuściłam go do głosu, stwierdził, że on już dawno o tym myślał. Bał się tylko, jak ja zareaguję na ten pomysł.

– Długo rozmawialiśmy tego wieczora – kontynuowała. – Jakby opadł z nas jakiś pancerz. Staliśmy się sobie znów bardzo bliscy. W następnych dniach zaczęliśmy dowiadywać się, jak można przysposobić dziecko. Planowaliśmy kolejne kroki. Postanowiliśmy zacząć od ośrodka adopcyjnego. Poszliśmy razem. Ośrodek to był wtedy taki jeden mały pokoik w wielkim budynku. Miła urzędniczka wypytała nas o zdrowie, mieszkanie, dochody, pracę, wykształcenie, a przede wszystkim, dlaczego zdecydowaliśmy się przysposobić dziecko. Powiedziała, żebyśmy przynieśli opinie z pracy o nas i zaświadczenia o zarobkach, nie pamiętam, czy coś jeszcze. Chyba to było wszystko. Po paru dniach powiedziano nam, że możemy udać się do domu

dziecka, do kierowniczki, bo prawdopodobnie jest dla nas dziecko. Prawie tam pobiegliśmy. W pomieszczeniach unosił się zapach gotowanego obiadu zmieszany z zapachem pieluch. Nieładny, ale dla mnie najpiękniejszy na świecie. Czuję go do dziś – opowiadała kobieta. – Dzieci było dużo. Część spała, inne tylko leżały w łóżeczkach. Spora grupka podopiecznych bawiła się na dywanie, przekładając klocki i jakieś zabawki. Była cisza, słychać było tylko płacz jednego z niemowląt i stukanie rączkami o ścianę cztero-, pięcioletniego chłopca. Personel poinformował nas, że większość dzieci nie może być jeszcze przysposobiona, czeka na decyzje sądu. Kierowniczka zaprosiła nas do sali, gdzie wśród innych dzieci, w rogu pokoju, siedziała czteroletnia dziewczynka z krótko obciętymi włosami. Niemal wszystkie maluchy podbiegały do nas, każde próbowało trzymać mnie za spódnicę czy męża za spodnie. Czterolatka przyglądała się nam badawczo z pewnej odległości, nie podeszła. Po pierwszej wizycie w domu dziecka nie interesowały nas już inne dzieci. Wiedzieliśmy z mężem, że ta mała chudziutka dziewczynka to nasza córka. W tym samym tygodniu złożyliśmy odpowiednie dokumenty do sądu. Na postanowienie czekaliśmy miesiąc. Przed zabraniem jej do domu byliśmy jeszcze parę razy w domu dziecka. Mała także bardzo nas polubiła. Serce się kroiło, gdy wychodziliśmy, nie tylko ze względu na naszą dziewczynkę, ale po prostu bardzo trudno było zostawiać inne dzieci, które wyciągały rączki.

– Gdy już mogliśmy zabrać córkę, nie posiadaliśmy się ze szczęścia. Pierwsze miesiące były jednak bardzo trudne. Bożenka uczyła się nas i wszystkiego, co było wokół, a my poznawaliśmy ją. Okazało się, że miała kłopoty ze snem, często siadała na łóżeczku i kiwała się, nie znała wielu potraw, bała się psa i lękała samochodów. Ale z każdym dniem mówiła coraz wyraźniej, zwiększała zasób używanych słów. Zaczęła pięknie rysować. Pojawił się uśmiech na twarzy. Stała się wesołym, energicznym, normalnym dzieckiem. Szybko „kupiła sobie" dziadków. Po roku poszła do przedszkola. Potem do szkoły. Na początku było trochę trudności z nauką, trzeba było pomagać w lekcjach. Z czasem zaczęła radzić sobie sama. W efekcie była dobrą uczennicą. Grzeczna, pracowita, bardzo szybko zjednywała sobie przyjaciół. Wiedziała, że jest adoptowana. Bardzo baliśmy się, co się stanie, gdy będzie chciała poznać swoich naturalnych rodziców. Czy nas nie zostawi...

– Czy rzeczywiście przyszedł czas, gdy chciała poznać swoje korzenie? – zapytałam.

– Tak. Było to pięć lat temu, przed maturą. Zaczęła dopytywać, kim są jej rodzice – snuła swą opowieść Pani z pociągu. – Mieliśmy bardzo niewiele informacji na temat rodziny córki. Konieczna była wizyta w ośrodku adopcyjnym. Poszliśmy tam z Bożeną. Ośrodek mieścił się już w innym miejscu, ale miał dane o matce. Dyrektorka powiedziała, że mamy szczęście, bo nie zawsze można ustalić szczegóły. Matka mieszkała w małej miejscowości pod Kielcami. Pojechaliśmy tam. Chwilę obserwowaliśmy dom, który prawdopodobnie należał do rodziny córki. Budynek był bardzo zaniedbany, podwórko zaśmiecone, drewniany płot z licznymi brakami sztachet. Po chwili wyszła z niego zniszczona, stara kobieta o podobnych do Bożenki rysach twarzy. Córka podeszła do niej sama, my byliśmy w samochodzie. Mieliśmy już „malucha" (fiata 126 p). Nieznajoma chwilę rozmawiała, potem zaprosiła nas do domu. W izbie panował półmrok, brak ładu i porządku. Usiedliśmy na koślawych krzesłach przy stole zastawionym brudnymi naczyniami. Kobieta zaczęła się tłumaczyć, że nie mogła zająć się córką, ojciec dziecka odszedł od niej jeszcze przed urodzeniem dziewczynki. Mówiła bardzo niewyraźnie, takim ochrypłym, przepitym głosem. Opowiadała o tym, że zaczęła pić jako młoda dziewczyna i nie potrafi przestać do dziś. Bożenkę zabrano, gdy miała dwa latka, już chodziła. Kobieta nie miała innych dzieci, dwa razy była zamężna, teraz jest sama, bo aktualny partner jest w więzieniu.

– Co na to córka? – zapytałam.

– Bożenka nie utrzymuje kontaktów z matką, matka także nie próbuje się z nią kontaktować. Po wizycie w tym domu córka powiedziała, że ma tylko jednych rodziców, to znaczy adopcyjnych, i tylko nas kocha. Więcej nie wraca do rozmów na temat matki.

Nasza podróż dobiegała końca. Widać było już samoloty na Okęciu. Jeden z nich właśnie wzbił się w powietrze. Kobieta schowała do torebki zdjęcie córki, które trzymała w ręku przez całą niemal drogę. Zapytała mnie, czy ja mam dziecko i życzyła, abym kiedyś była tak szczęśliwą matką, jaką ona jest. Podziękowałam starszej Pani za bardzo ciekawą opowieść i pogratulowałam córki. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że kiedyś będę zajmowała się zawodowo prowadzeniem procedur adopcyjnych. Rok po tej rozmowie zaczęłam współpracować

z ośrodkiem adopcyjnym, a dwadzieścia lat później objęłam kierownictwo Świętokrzyskiego Ośrodka Adopcyjnego. Dziś inaczej wyglądają procedury, inne obowiązują akty prawne, ale uczucia ludzkie pozostają takie same, nie zmieniają się. Nadal są dzieci, które czekają na rodziców i dorośli, którzy są gotowi dać im dom, miłość i wyposażyć w skrzydła, które pozwolą się wzbić wysoko... w życie.

Listy do matek

Droga Mamo,

To dość nietypowa i niezręczna sytuacja, ponieważ już niedługo zostaniemy rodzicami Twojego Dziecka. Kiedy Ty przeżywasz dramat utraty Dziecka, my nie posiadamy się z radości, ponieważ nasza rodzina powiększy się o mały Cud.

Nie możemy się doczekać, kiedy ta Kruszynka pojawi się u nas w domu. Wraz z mężem i synem jesteśmy w pełni przygotowani na jej przyjście.

Pragnę Cię zapewnić, że to czego Dzieciątku na pewno nie zabraknie w naszej rodzinie to miłość, bezpieczeństwo, ciepło, radość. Będziemy je wychowywać tak, jak wychowujemy naszego syna, wpajając mu wartości, którymi kierujemy się w życiu, pokazując co jest dobre, a co złe. Będziemy razem odkrywać i poznawać świat, będziemy poszukiwać i wspierać rozwój jego hobby i pasji, tak aby wyrosło na szczęśliwego, pewnego siebie oraz świadomego własnej wartości człowieka. Zawsze będziemy przy nim i zawsze będzie mogło liczyć na naszą pomoc i wsparcie. Będzie dorastać w kochającej się rodzinie.

Możesz być pewna, że nigdy nie usłyszy złego słowa na Twój temat.

W końcu dzięki Tobie nasze Dziecko pojawiło się na świecie.

Na zakończenie chciałabym życzyć Ci szczęścia, miłości i powodzenia w życiu. Pragnę także z całego serca podziękować Ci za to, że umożliwiłaś nam zostanie rodzicami Twojego dziecka.

Pozdrawiam,
Druga Mama

Szanowna Pani!

Piszę do Pani ten list, ponieważ już wkrótce wraz z mężem będziemy mogli przyjąć do naszej rodziny Pani dziecko. Nasze losy połączą się na zawsze, a to za sprawą tej małej istotki.

Pani nosiła ją pod sercem, urodziła. Mamy nadzieję, że chce Pani, aby nasze dziecko żyło godnie wśród bliskich osób, które obdarzą je najlepszymi uczuciami.

Pragniemy przyjąć Pani dziecko, zapewniając mu wszystkie warunki rozwoju. Bardzo cieszymy się i czekamy na tę chwilę. Stworzymy Pani dziecku ciepły, rodzinny i kochający dom. Będziemy starali się dać mu jak najlepszą opiekę. Zapewnimy mu naszą miłość i bezpieczeństwo. Będziemy rodzicami, na których zawsze będzie mogło liczyć. Postaramy się przekazać mu wartości takie jak: wiarę, miłość, radość życia, zrozumienie, pokorę, uczciwość, szacunek, kulturę, odpowiedzialność, odwagę, patriotyzm. Poświęcimy mu tyle czasu, ile będzie potrzebowało.

Jesteśmy z mężem bardzo udanym małżeństwem, od siedmiu lat. Od początku pragnęliśmy stworzyć ciepły, kochający dom, wraz z dziećmi, ale niestety nie możemy mieć własnego dziecka. Dlatego zdecydowaliśmy się na adopcję. Obydwoje z mężem mamy wyższe wykształcenie, ja pracuję jako nauczycielka w szkole podstawowej, natomiast mój mąż prowadzi własną firmę. Na pewno będziemy chcieli zapewnić Pani dziecku jak najlepszą edukację i dbałość o jego zdrowie.

Obydwoje z mężem pochodzimy z pełnych rodzin. Rodzice moi i mojego męża byli dla nas pierwszymi wychowawcami i nadal pozostają autorytetami. Mówili co dobre, a co złe. Dziękujemy Im za trud, jaki włożyli w nasze wychowanie. Przekazali nam cenne wartości, na których się wychowali. Jesteśmy pewni, że będą wspaniałymi dziadkami dla naszego dziecka.

Sądzimy, że oddanie dziecka to ogromne przeżycie, na które zdecydowała się Pani dla jego dobra. Z całego serca chcemy za tę decyzję podziękować. Dziękujemy, że pozwoliła Pani swojemu dziecku stać się naszym. Będzie wzrastać w kochającej rodzinie, którą mu stworzymy.

Dziękujemy Pani, że pomimo trudnej życiowej sytuacji postanowiła Pani to dziecko urodzić.

Dziękujemy, że przemyślała Pani, co będzie dla niego najlepsze.

Dziękujemy, że kierowała się Pani jego potrzebami, a nie własnymi. Pani decyzja, choć trudna, da maleństwu szansę na wspaniałe, cudowne i beztroskie dzieciństwo oraz na dobry start w dorosłe życie.

Chcemy Pani również podziękować za to, że możemy poznać smak rodzicielstwa, a nasza rodzina dopełniła się. Dar, który nam Pani przekazała, to Cud, za który będziemy wdzięczni do końca naszych dni.

Swoim poświęceniem pokazała Pani, że jest odpowiedzialną i mądrą kobietą. Chcemy, żeby Pani wiedziała, że ta decyzja odmieniła niejedno istnienie. Słowo „dziękuję" to zawsze będzie za mało, by wyrazić to, co do Pani czujemy.

Z wyrazami szacunku
dumni i najszczęśliwsi
Rodzice

Szanowna Pani,

Mam na imię Piotrek. Za kilka dni wraz z żoną przyjmiemy do naszego domu Pani dziecko.

Chciałbym Panią zapewnić, że w naszym domu znajdzie opiekę i bezpieczeństwo. Jesteśmy ludźmi otwartymi i dobrymi. Będziemy kochać Pani dziecko tak samo mocno jakby było biologicznie nasze.

Mamy duży dom z pokaźnym ogrodem, mieszkamy w spokojnej okolicy pełnej łąk i lasów. Dziecku niczego nigdy nie zabraknie, będzie miało swój pokój i wszystko co potrzebne do prawidłowego rozwoju.

Zapewnimy mu bezpieczeństwo finansowe od najmłodszych lat. Zadbamy o stan jego zdrowia fizycznego i psychicznego. Damy możliwość edukacji i rozwoju swoich pasji. Znajdzie u nas wsparcie i poczucie bezpieczeństwa. Poświęcimy mu dużo czasu i ciepła, którego potrzebuje. Wiem, że będziemy dla niego dobrymi i kochającymi rodzicami.

Proszę pamiętać, że nigdy nie zabronimy mu kontaktu z Panią i rodziną biologiczną. Nie będziemy także budować w nim niechęci do Pani.

Proszę się nie martwić o swoje dziecko, będzie mu u nas dobrze.

Pozdrawiam
Piotr

Dzień dobry,

Mam na imię Jan, moja żona to Anna. Jesteśmy ze sobą od 13 lat i bardzo się kochamy.

W najbliższym czasie Pani dziecko trafi pod nasz dach i staniemy się jego nowymi rodzicami. Będziemy je otaczać opieką i miłością nie mniejszą niż nasze własne dziecko. Zapewniam, iż Pani dziecko będzie kochane i akceptowane przez całą moją rodzinę takim jakie jest oraz że zadbamy o jego przyszłość najlepiej jak potrafimy.

Pragnę Pani również podziękować, że wydała Pani na świat tak cudowną małą istotkę, która dała mnie i żonie wiele radości i pozwoliła stworzyć pełną szczęścia rodzinę. Może być Pani również pewna tego, że pamięć o Pani jako o biologicznej mamie będzie zawsze przekazywana naszemu dziecku w sposób pozytywny, tak aby dziecko wiedziało, że Pani je kochała, ale na skutek przeciwności losu nie mogła Pani się nim dalej opiekować.

Pozdrawiam
Jan

Dziecko za szybą – od oczekiwania do przysposobienia

reportaże

Narodzeni na nowo

Beata Ryń

Mały usnął wtulony w jego ramię. Nie miał ochoty odkładać go do łóżeczka. Wsłuchiwał się w równy oddech chłopca, czuł jego ciepło. Po każdej komórce jego ciała rozchodziło się poczucie szczęścia, spokoju i czułości – tak jakby ktoś zrobił magiczny eliksir i wstrzyknął mu go do żył. To była cudowna chwila. Po raz pierwszy wypełnił się absolutną, bezwarunkową miłością. Był ojcem.

Tak bardzo się starali. Wieloletnie leczenie u znakomitych profesorów w Warszawie i Krakowie, wizyty w kolejnych specjalistycznych klinikach, w końcu zapłodnienie in vitro. Udało się. Magda była w ciąży. Kołatanie serca i fajerwerki radości w głowie. Poroniła w drugim miesiącu. Krążyła po domu zapłakana, wypalona, pełna pretensji, zadręczała się poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie: „dlaczego? Przecież jesteśmy zdrowi, pragniemy dziecka". Wtedy Michał powiedział „dość". Koniec z badaniami, uciążliwymi wyjazdami, podsycaniem nadziei. Magda przyznała mu rację: – Skoro natura nie pozwala nam być biologicznymi rodzicami, to może wie, co robi. Po co z nią walczyć?

Wspólnie podjęli decyzję o adopcji.

– Najtrudniej jest przekroczyć próg ośrodka adopcyjnego. W świadomości wielu kandydatów na rodziców adopcyjnych wizyta u nas oznacza definitywne pogodzenie się z faktem, że nie będą już rodzicami biologicznymi. Po latach starań o dziecko jest to bardzo trudne – mówi Anna Sokołowska-Smołkowska, dyrektor Świętokrzyskiego Ośrodka Adopcyjnego. Dba ona o to, aby pomieszczenia w ośrodku były przyjazne i estetyczne. Ważna jest również życzliwa atmosfera, którą starają się zapewnić pracownicy. Ten obraz rodzice adopcyjni będą pamiętać do końca życia.

Ze skompletowaniem wymaganych dokumentów Magda i Michał uporali się w dwa tygodnie. Zaraz potem rozpoczęli trzymiesięczne szkolenie dla rodziców adopcyjnych. – Obser-

wowałem twarze innych par i dostrzegłem, że część z nich chłonie każdą informację, a inni czują się niezręcznie, było prawie pewne, że prędzej czy później zrezygnują. Ale to dobrze. Adopcja to nie jest wyzwanie dla każdego. Trzeba mieć świadomość wszelkich zagrożeń i zaakceptować je albo w porę się wycofać – mówi Michał. Jest wysokim, silnym mężczyzną, o takich mówi się „człowiek skała". Magda wydaje się jego przeciwieństwem, krucha, otwarta, utkana z emocji.

– Pary czasem rezygnują z adopcji, ponieważ uświadamiają sobie, że nie są jeszcze gotowe na przyjęcie dziecka. Bywa, że przyczyną jest nieprzepracowana żałoba związana z niemożnością posiadania biologicznego potomstwa. W takich przypadkach przede wszystkim proponujemy dokończenie terapii medycznej, ewentualnie psychoterapię ze specjalistami w ośrodku, czy nawet po prostu danie sobie czasu na ugruntowanie decyzji – wyjaśnia Anna Sokołowska-Smołkowska. Przygotowujący się do roli rodziców kandydaci są diagnozowani psychologicznie i odwiedzani przez pracowników ośrodka w miejscu swojego zamieszkania, uczestniczą w szkoleniu, analizie podlegają także złożone przez nich dokumenty. Decyzja o kwalifikacji kandydatów na rodziców adopcyjnych jest podejmowana wspólnie przez zespół psychologów i pedagogów zatrudnionych w ośrodku. Każdy pracownik ma pełną wiedzę o prowadzonych tu sprawach. Magda i Michał testy przeszli pomyślnie. Wypełnili formularz, który zawierał ich oczekiwania wobec przyszłego potomka.

– Łatwiej jest dobrać dziecko, jeżeli te wymagania są elastyczne. Rodzice pozostawiają dowolność w wyborze płci, nie zawężają radykalnie wieku. Taka właśnie była ta para. Na szkoleniu imponowali otwartością, zaskakiwali szczerością – a na nią niewielu stać. Byli ciekawi wszystkiego – wspomina Beata Wieczorek, pedagog ze Świętokrzyskiego Ośrodka Adopcyjnego.

Magda i Michał nie spodziewali się, że sprawy potoczą się tak szybko. Zostali zaproszeni na spotkanie do ośrodka adopcyjnego, gdzie poznali historię półtorarocznego Jasia. Właśnie jego, po wielogodzinnych konsultacjach i badaniach, „wybrał" dla nich zespół specjalistów z ośrodka adopcyjnego. Kilkumiesięczny Jaś został zabrany od biologicznych rodziców po interwencji policji. Jego rodzice byli alkoholikami, matka chłopca piła także w czasie ciąży.

Zaniedbane i odrzucone niemowlę trafiło do rodziny zastępczej prowadzonej przez Marylę. Wielu kandydatów na rodziców adopcyjnych rezygnuje na tym etapie, boją się możliwych skutków patologii obciążającej naturalną rodzinę dziecka, wad zdrowotnych, które mogą się u niego ujawnić w starszym wieku. Najchętniej wzięliby niechciane dziecko studentki i lekarza, ale takie historie zdarzają się tylko w filmach.

– Oczywiście mieliśmy obawy. Baliśmy się FAS, tyle się o tym teraz mówi... Ale czy w dobrze funkcjonujących rodzinach biologicznych wszystkie dzieci są idealne, piękne, zdrowe i mądre? – pyta retorycznie Michał. FAS to Fetal Alcohol Syndrome, alkoholowy zespół płodowy, obejmujący zaburzenia psychiczne i fizyczne, które może u dziecka wywołać picie alkoholu przez brzemienną matkę.

Będę walczyć o miłość syna

Tuż przed pierwszym spotkaniem z Jaśkiem uprosili o pokazanie jego zdjęcia. – Nie wszyscy są fotogeniczni, a on przecież jest taki śliczny – śmieje się na to wspomnienie Magda. – Ludzie niepotrzebnie wizualizują sobie dziecko. Wyobrażają sobie, jak ma wyglądać, jakby to było najważniejsze. A ośrodek adopcyjny to nie jest sklep z zabawkami – mówi Michał. – Tak jakbyśmy wszyscy wyszli ze złotej karocy – dorzuca sarkastycznie. Wiedzieli, że adopcję Jaśka rozważała już inna para, ale spotkanie się nie udało. Maluch skrył się za plecami matki zastępczej i nie chciał kontaktu z potencjalnymi rodzicami. Ci wyszli po chwili, nie starając się pozyskać jego zainteresowania. Zrezygnowali.

Magda szła na spotkanie radosna i pewna siebie, Michał zabrał ze sobą samochodzik. Zobaczyli Jasia w oknie. Maryla postawiła chłopczyka na parapecie. – To jest ten moment, którego nigdy nie zapomnę. Jasiek pomachał do nas. Wtedy już wiedziałem, że nie odpuszczę, chcę być jego ojcem – opowiada wzruszony Michał. – A pamiętasz, jak on się wtedy uśmiechał? Ten wielki uśmiech i machanie rączką, tę czuprynkę blond loczków... – dodaje z czułością Magda. Nie przypuszczała wówczas, że pierwsze spotkanie wywoła u niej tyle wątpliwości.

– Jaś od razu zaakceptował Michała. Mały nie schodził mu z rąk. Gilgotki, śmiech, przytulanie, wspólna zabawa samochodzikiem. Na mnie nie zwracał uwagi – wspomina. Telefonem

komórkowym zrobiła zdjęcia: Jaś tuli się do Michała, Michał łaskocze Jasia i obaj śmieją się do rozpuku. Ona się nie śmiała. – Wiedziałam, że nie rzuci mi się od razu na szyję z okrzykiem „mama", ale taka obojętność mnie zaskoczyła – mówi. Szukała winy w sobie. Pochodziła z rozbitej rodziny, wychowywała się bez ojca. Mama pracowała na nocną zmianę. Malutkiej Magdy nie miał kto odprowadzać do przedszkola. Samiuteńka jeździła rano autobusem przez pół miasta. Gdy mama zmarła, miała zaledwie 18 lat. Dała radę skończyć studia, a po nich zafiksowała się na karierze. Był moment w jej życiu kiedy zdecydowała, że nigdy nie wyjdzie za mąż, ale przyjaciele poznali ją z Michałem. Miłość sprawiła, że wszystkie młodzieńcze postanowienia wzięły w łeb.

– Ja się chyba bałam odrzucenia przez Jasia, ale nie potrafiłam się do tego przyznać – wspomina. Michał wiedział, że decyzja musi być wspólna, dojrzała i nieodwołalna. Nie naciskał, cierpliwie czekał. W duchu drżał, co postanowi Magda. Powiedział: – Następnego spotkania zapoznawczego nie będzie. Nie zrobimy tego dzieciakowi. Oboje musimy być pewni. Zdecydowała: – Niech się dzieje co chce, ja o miłość Jasia będę walczyć.

Dotknięcie anioła

Anna Sokołowska-Smołkowska i Beata Wieczorek przyznają, że nawet maleńkie dzieci potrafią wyczuć w kandydatach gotowość do bycia rodzicem. – W przypadku Jasia pierwszy kontakt się nie udał. Nie zaiskrzyło zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie – mówi Beata Wieczorek. Wspominają historię kilkumiesięcznej Mai, oddanej do adopcji zaraz po porodzie. Matka biologiczna piła przez całą ciążę, dziecko urodziło się zatrute alkoholem, cierpiące. Malutka płakała dnie i noce, matka zastępcza stawała na głowie, aby ją utulić, ale bez powodzenia. – Nie dacie rady znaleźć jej rodziców adopcyjnych, alkohol zniszczył to dziecko – załamywała ręce. Pracownicy ośrodka adopcyjnego znaleźli jednak parę, której nie odstraszyła trudna historia dziewczynki. Ludzie ci przyszli na spotkanie. Już w progu usłyszeli spazmatyczny szloch niemowlęcia, lecz gdy tylko kandydatka na adopcyjną mamę pochyliła się nad Mają, ona po prostu przestała płakać. – To było jak dotknięcie anioła – wspomina Beata Wieczorek. Kobieta klęczała przy łóżeczku dwie godziny, wpatrując się w spokojnie śpiącą

dziewczynkę i gładząc ją po główce. A kiedy wyszeptała: „córeczko moja kochana, całe życie na ciebie czekałam", było wiadomo, że Maja ma rodzinę.

– Nigdy nie jesteśmy pewni, czy pierwszy kontakt będzie miał taki finał jak w historii Mai. Pracownicy ośrodka adopcyjnego robią wszystko, aby dzieci nie wyszły ze spotkania emocjonalnie poranione. Nie informujemy, że odwiedzający je ludzie są kandydatami na rodziców. To po prostu goście – mówi Beata Wieczorek. Przyznaje, że starsze dzieci szybko orientują się co się dzieje. Pytają: „A kiedy do mnie przywieziesz mamę i tatę?". Zdarza się, że dzieci zwracają się do kandydatów wprost: „Czy zostaniesz moją mamą?".

– Kandydaci na rodziców adopcyjnych mają oparcie w sobie, łączy ich wspólne życie. Dziecko jest samotne, nie zna ich, a oni wiedzą o dziecku wszystko. To chyba oczywiste, kto w procesie adopcji powinien być silniejszy, mądrzejszy, odpowiedzialny, bardziej zaangażowany. Dmuchamy na zimne. Nawet jeśli kandydaci po spotkaniu deklarują chęć adopcji, zawsze doradzamy: skonfrontujcie się z tą decyzją, porozmawiajcie o niej – mówi Anna Sokołowska-Smołkowska.

Bunt Jasia

Kupili granatowe łóżeczko turystyczne, identyczne jak to, w którym Jaś spał u Maryli, nowe meble, zadbali, by jego pokój był przytulny, wypełnili go zabawkami. Pragnęli, aby chłopiec od razu poczuł się u nich dobrze. W końcu dzień ostatecznej przeprowadzki nadszedł. Teraz będą rodziną, na dobre i na złe. Jaś powoli poznawał swój nowy dom, nieśmiało dotykał mebli i zabawek. W rodzinie zastępczej dzielił pokój z dwójką dzieci, tu miał wszystko dla siebie.

– Nadal faworyzował ojca, uwielbiał jeździć z nim autem i bawić się jego zegarkiem – wspomina Magda. – Ale to ty miałaś do niego więcej cierpliwości – przerywa Michał. Janek z dnia na dzień zachowywał się coraz gorzej. Ranił ich bez powodu. Zakazy wywoływały histerię, nad którą nie potrafili zapanować. – Stał się kolczastym jeżykiem. Każda próba zbliżenia się do niego bolała – wspomina Magda. Myśleli, że to chwilowe, że jakoś to przetrzymają, lecz mijały miesiące i nic się nie zmieniało. Chłopca nie interesowały zabawki, nawet samochodziki. Nie rozumieli, co się dzieje. Jaś przesuwał granice coraz dalej i dalej. Krzyczał, że chce do

Maryli. To trwało niemal rok. Magda była na skraju załamania. Pomogli jej specjaliści z ośrodka adopcyjnego. – Rodzice nie zrywają z nami kontaktu. Wiedzą, że mogą na nas liczyć w takich sytuacjach. My się nie zamykamy. Przy ośrodku działa grupa wsparcia dla rodziców. Chętni mogą skorzystać z konsultacji psychologa, psychoterapeuty i pedagoga, ale też specjalistów z różnych dziedzin – opowiada Beata Wieczorek.

Michał i Magda dzięki spotkaniom z psychologiem, dowiedzieli się, że zachowanie Jasia jest normalne, muszą go tylko zrozumieć i wykazać się cierpliwością. – Był malutki, gdy trafił do domu pani Maryli, przez półtora roku tam byli jego bliscy. Nagle znalazł się poza swoim środowiskiem naturalnym. Zdarza się, że po „miesiącu miodowym", obustronnym zauroczeniu, rodzina adopcyjna przeżywa kryzys. Dzieci mają prawo do przeżywania żalu po stracie rodziców zastępczych. Z naszych doświadczeń wynika, że czas trwania tej sytuacji jest indywidualny – wyjaśnia Anna Sokołowska-Smołkowska.

Przełom nastąpił latem. Wyjechali na wakacje nad morze. Jaś poznał inne dzieci, obserwował ich rodziców, porównywał ze swoimi. Zrozumiał, że jest dla Magdy i Michała największym skarbem i nic tego nie zmieni. Było już bardzo późno, wszyscy spali. Magdę zbudziły kroki w ich sypialni. Przez półotwarte oczy zobaczyła Jasia. Wdrapał się na duże łóżko rodziców i położył w środku. Potem odwrócił się do Magdy i objął jej twarz rączkami.

Przyjaciel tygryska

– Ciocia, jak zjemy ciasto, to pokażę ci, gdzie śpi mój pies – proponuje Jaś. Ciasto robił razem z Magdą. – Sam ubijał białko – chwali synka. Siedzimy w przytulnym salonie, Michał parzy kawę. Przez otwarte drzwi dużego balkonu mieszkania na trzecim piętrze, rozciąga się widok na osiedle. Jaś prowadzi mnie do sypialni rodziców, gdzie pluszowe legowisko ma Saba. Magda kilka lat temu zgarnęła porzuconego psa z pobocza jezdni i przywiozła do domu. Suczka zaakceptowała Jasia od samego początku. Może dlatego, że też była sierotą.

Jaś zaprasza do swojego pokoju. Łóżko jest okazałym strażackim wozem, duże i małe samochody strażackie, policyjne i wyścigowe, ustawione są na regale nieopodal. – Ten ma taki sygnał i światła, a ten jest na pilota – demonstruje, włączając w samochodzikach alarmy i światełka. –

W tej szafce są moje gry planszowe i książki, te są nowe, ale widzisz, mam tylko pierwszą i piątą część – bezbłędnie wskazuje paluszkiem na cyfry widoczne na okładce wydania przygód Angry Birds. Podbiega do łóżeczka, wyciąga z niego pluszowego tygryska ze sprężystym ogonkiem. Mocno go przytula i całuje. Żaden z bohaterów kultowej książki A.A. Milne'a o Kubusiu Puchatku nie pasuje charakterem do Jasia tak bardzo jak energiczny, rozbrykany Tygrysek. Wszędzie go pełno, uwielbia zaskakiwać, płatać figle, żartować i kochać. – To twoja ulubiona zabawka? – pytam. – Tygryś nie jest zabawką – w sukurs synkowi przychodzi rozbawiona Magda. – To przyjaciel. On Jasiowi pomaga w wielu sprawach. Musi na przykład pilnować zabawek, gdy wyjeżdżamy na wakacje. Tygrysek to prezent dla Jasia od kolegów z pracy Michała. Magda nie spuszcza oczu z synka, chłonie każde wypowiedziane zdanie. – On jest nad wiek rozwinięty, inteligentny, ma niespotykanie bogate słownictwo – wyrzuca jednym tchem.

– Mamuś, ale nie mów, że jestem zakochany w Basi – głośnym szeptem przestrzega Jasiek. – Słyszałam! – wszyscy śmiejemy się z nieudanej konspiracji Jasia. – Myślałam, że w Matyldzie, z którą tak lubisz bawić się przed domem – mówi Magda. – Matyldę też kocham, ale inaczej – natychmiast odpowiada Jaś. Starsza o trzy i pół roku sąsiadka uwielbia spędzać z nim czas. – Zanim pojawił się Jaś mieszkaliśmy tu osiem lat i w ogóle nie znałam sąsiadów. Dzięki niemu nawiązaliśmy przyjaźnie, wspieramy się w opiece nad dziećmi. Wspólne zabawy, wycieczki. Nie wiem, jak on to zrobił, przecież to maluch, skończył niedawno cztery latka – zastanawia się Magda. Michał też jest dumny z otwartości syna na innych ludzi: – Na wakacjach nie zdążę walizek wyjąć z bagażnika, a on już biegnie z nowym kolegą.

Nie uprzedzali sąsiadów o tym, że zamieszka z nimi dziecko. Michał po prostu zamontował w aucie fotelik dziecięcy i parkował przed blokiem. Sąsiedzi zauważyli, ale nikt nie zadawał pytań, nie szeptał po kątach, przyjęli Jasia tak, jakby był tu z nimi od urodzenia. Trwa to do dziś. Przepadają za energicznym blondynkiem, który zawsze ma tyle do powiedzenia i z każdym „przybija piątkę". – Mamuś, ale daj coś powiedzieć – domaga się Janek. Opowiada o tym, że musi zmienić drużynę, z którą gra w piłkę, bo jest najmłodszy i chłopaki mówią na niego „mały". O tym, jak zeskoczył z murku, pod którym siedział piesek i niechcący go wystraszył oraz ile zmartwień miała koleżanka mamy, kiedy jej synek połknął pierścionek.

– Nie wyobrażam sobie powrotu do życia przed Jasiem – mówi Michał. Bez wahania wymienia momenty, które budowały w nim ojca. Pierwszy, gdy zobaczył syna po raz pierwszy, stojącego w oknie i machającego do nich rączką. Drugi, gdy po pieszczotach i zabawie Jaś usnął wtulony w jego ramię. Do tej pory nigdy nie doświadczył uczucia, które wówczas nim zawładnęło. Trzeci moment był dla niego traumatyczny. Magda zadzwoniła ze szpitala, że u synka lekarze podejrzewają sepsę. Przerażenie zwaliło go z nóg. Pędził jak oszalały do syna. – Wtedy w trzy dni schudłem pięć kilogramów.

– Janek przewrócił nasz świat do góry nogami. Tak wiele mu zawdzięczamy. Odmłodniałam, zaczęłam się uśmiechać. Narodziłam się na nowo. Jestem matką – mówi Magda. Razem oklaskują każdy występ Jasia w przedszkolu. Magda robi zdjęcia. Ma ich bardzo dużo, od pierwszego dnia rejestruje telefonem momenty wspólnego życia, przytulania, zabawy i wakacyjne podróże. Odkąd kilkakrotnie przyłapała synka na przeglądaniu fotografii, zawsze kładzie aparat w dostępnym dla niego miejscu. Całą energię skupiają teraz na planowaniu przyszłości syna. Zapisali go na język angielski, już rozmyślają o dobrej szkole. Może jakaś działka pod miastem, Jaś tak bardzo lubi przyrodę i zwierzęta. Ma to po mamie. Po tacie zamiłowanie do samochodów i poczucie humoru. – I urodę – dodaje Magda. – Prawda, że są do siebie niesamowicie podobni?

***

– Janku, dziś jest 26 maja. Wiesz, czyje to święto?

– Wiem – odpowiada rezolutnie chłopczyk. – Dziś jest Dzień Mamy i Taty.

Przeznaczone i odnalezione

Monika Rosmanowska

Anielka i Franek to ich dzieci. Od chwili, gdy usłyszeli w słuchawce telefonu, że są. Mówią, że to przeznaczenie. I na powracające coraz częściej pytanie dziewczynki, czy nowa mama ją urodziła, odpowiadają z podniesioną głową, że zrobiła coś lepszego – odnalazła. Po długich poszukiwaniach.

Anna i Krzysztof są razem od lat. Mówią o sobie – dojrzałe małżeństwo: stażem i wiekiem. Dobrze im razem. Spełnieni zawodowo, mieszkający w domu z dużym ogrodem, pięknie położonym w malowniczych okolicach Gór Świętokrzyskich. Do pełni szczęścia od dawna brakowało im tylko jednego – dzieci. – Już wiele lat temu pojawiła się myśl, żeby adoptować malucha. Jednak tak szybko, jak w nas zakiełkowała, tak szybko zniknęła. Nie byliśmy po prostu gotowi. Dom był wciąż w mocno surowym stanie. Nie było podłóg, drzwi. Nikt nie dałby nam dzieci... – opowiada dziś Anna.

To było krótko po nieudanym leczeniu in vitro. Żaden lekarz nie potrafił powiedzieć, dlaczego nie mogą mieć swoich maluchów. – Nadzieja wciąż w nas żyła – dodaje Krzysztof.

To tematu wrócili w lutym 2015 roku. Wtedy wystarczyło jedno słowo. O adopcji zdecydowali, jadąc do Kielc. Zanim przekroczyli granice miasta, zdążyli już zadzwonić i umówić się w ośrodku adopcyjnym na spotkanie. Gdyby decyzyjność mierzyć kilometrami, im wystarczyło niecałe trzydzieści.

– Kiedy po raz pierwszy poruszyliśmy ten temat, daliśmy sobie sygnał, że oboje jesteśmy otwarci. Dojrzeliśmy do tej decyzji, wtedy byliśmy już mocno zdeterminowani – przyznaje Anna. Rozmowę w ośrodku mieli wyznaczoną na piątek 13 lutego. Pechowa data? Nie dla nich. Były łzy i cała masa dokumentów do wypełnienia. Przed rozmową fantazjowali, że chcieliby mieć dziewczynkę, a jeszcze lepiej dwie małe dziewczynki. Dziś się z tego śmieją. – Płeć, wiek nie mają najmniejszego znaczenia. Gdy dzwoni telefon z ośrodka i słyszysz w słuchawce, że są dzieci, to tylko to się liczy. To jest najważniejsze – zapewnia Krzysztof.

Śmiech i łzy

Kurs trwał trzy miesiące. Nie było łatwo. Trzygodzinne trudne emocjonalnie spotkania, sporo dodatkowej pracy w domu i godzenie tego wszystkiego z codziennymi obowiązkami. Wiele poruszanych tematów wydawało się zbędnych, bo przecież każdy wie, jak powinno się wychować dziecko. Dziś, jak sami podkreślają, doceniają to szkolenie i zdobytą wtedy wiedzę chętnie wykorzystują. Co więcej, choć nie czują się ekspertami, dzielą się nią z kolejnymi kursantami, opowiadając o swoich doświadczeniach, na początku bardziej gorzkich niż słodkich.

– Podczas kursu prowadzący przekazują wiele negatywnych treści, pojawia się dużo złych emocji. Rozmawiamy o dzieciach molestowanych, bitych, od matek z problemami psychicznymi... Jeśli ktoś nie jest gotowy, na tym etapie może jeszcze zrezygnować. Każdy z nas miał lepsze i gorsze momenty. Początkowy entuzjazm szybko opadał. Tylko część osób z naszego kursu ma dziś dzieci – mówi Anna. Jako grupa mocno się zżyli. Spotykali się po zajęciach, prowadząc długie rozmowy. Był śmiech i łzy.

Jeszcze na początku kursu prowadzące opowiedziały historię rodzeństwa, które właśnie zostało porzucone przez rodziców. Dwoje małych dzieci. – Wtedy serce mocno mi zabiło i pomyślałam, że to są moje maluchy – uśmiecha się Anna. I rzeczywiście los tak zdecydował, ale nie od razu...

Dziewczynka z palemką na głowie

Po skończonym kursie przez pół roku czekali na wiadomość z ośrodka. Znajomi z grupy mieli już dzieci, im pozostało częste przypominanie się. – Pomimo olbrzymiej zażyłości i częstych kontaktów z ludźmi z grupy, a także radości z tego, że oni już zostali rodzicami i cieszą się swoimi pociechami, w nas pojawiało się uczucie zazdrości i ciągłe pytanie „dlaczego oni, a nie my". Dziś wiemy, że Anielka i Franio na nas czekali – przyznają. – Gdy kurs się kończy, nie odkłada się telefonu nawet na chwilę. Każdy nieznany numer sprawia, że serce zaczyna bić jak szalone. W tym czasie daliśmy jeszcze ogłoszenie o wynajęciu mieszkania, telefony się urywały, myślałam, że oszaleję – dodaje Anna.

Telefon – tak jak zapowiadali w ośrodku – zadzwonił w najmniej spodziewanym momencie. Krzysztof był ze wspólnikiem w pracy poza miastem, a Anna szykowała się do wyjazdu

na dużą konferencję. – Kilka minut po godzinie siódmej zadzwoniła do mnie pani Agnieszka z ośrodka i powiedziała, że są dzieci, że jeszcze tego samego dnia możemy je zobaczyć. Szybko wszystko przeorganizowaliśmy i pojechaliśmy do Kielc. Przełożenie tego spotkania w ogóle nie wchodziło w grę – zapewnia Krzysztof.

Gdy poznali dzieci, Anielka miała trzy latka, a Franek – półtora roku. To biologiczne rodzeństwo. Gdy przyszli rodzice zapukali do drzwi mieszkania, w którym dzieci przebywały, otworzyła im uśmiechnięta, wystrojona w falbaniastą sukienkę dziewczynka. – Blondyneczka z palemką zawiązaną na czubku głowy. Taką samą fryzurę mam na zdjęciu z dzieciństwa. Zamarłam, zobaczyłam w niej siebie – wspomina Anna. Spędzili z dziećmi około trzech godzin. Tego dnia nigdy nie zapomną. Dziewczynka była jak dzikie zwierzę. Nie wiedziała, jak ma na imię, ile ma lat. W tę i z powrotem chodziła po pokoju. – Przez cały czas bardzo się spinała, robiła grymasy. Próbowano ją nawet diagnozować, by wykluczyć padaczkę. Do dziś nie wiemy, co jest tego przyczyną. Nie wyglądało to dobrze. Pani Agnieszka wnikliwie nas obserwowała i zastanawiała się, jak zareagujemy, a my wiedzieliśmy już, że Anielka jest nasza i zrobimy wszystko, by jej pomóc – nie kryje łez Anna.

Od tego dnia dzieci były ciągle w ich głowach. Zasypiali z myślą, czy śpią spokojnie, czy są najedzone, zadowolone... Zastanawiali się, który pokój dla którego malucha będzie najlepszy i jak go urządzić. Spieszyli się, bo procedury trwają zwykle około dwóch, trzech tygodni. Nie u nich.

Rekordowo długie procedury

Gdy rozstali się z biologicznymi rodzicami, Anielka miała dwa lata i cztery miesiące, a Franek – dziewięć miesięcy. Ich historia nie ma precedensu. W pewnym momencie, będąc na wyjeździe w Świętokrzyskiem, rodzice stwierdzili, że dzieci nie są im już potrzebne. Po prostu spakowali je i oddali odpowiednim służbom. Wcześniej nie było żadnej interwencji. W dokumentacji policji zachowała się tylko jedna notatka na temat pijanej kobiety, która w środku nocy szła z wózkiem przez miasto.

Wizyty w pogotowiu rodzinnym dla przyszłych rodziców nie były łatwe. Odwiedzali dzieci trzy razy w tygodniu, w ściśle określonych godzinach. Nie mogli zabrać maluchów do siebie

na weekend. I tak przez trzy zimowe miesiące. W tym czasie trwała procedura adopcyjna. Ponieważ dzieci zostały porzucone, sąd, pozbawiając rodziców praw, postanowił dać im szansę, a później przynajmniej poinformować o tym, że dzieci idą do adopcji. To dlatego wezwał rodziców na rozprawę z udziałem Anny i Krzysztofa. Nie przyjechali. – Ile łez wylaliśmy wtedy... Dwoje dorosłych ludzi ciągle w sądzie płakało. Różne myśli kłębiły nam się w głowach, byliśmy zdezorientowani. Mocno wspierali nas wówczas pracownicy ośrodka. Bez nich nie poradzilibyśmy sobie emocjonalnie z tym wszystkim – przyznaje Anna.

I nawet po uprawomocnieniu się wyroku, gdy dzieci mieszkały już z nimi, rozbrzmiewający w pierwszych dniach dzwonek do drzwi budził popłoch. – Później to wszystko się wyciszyło. Rodzicielstwo sprawiło, że poczuliśmy się silni i zdaliśmy sobie sprawę, że to MY jesteśmy rodzicami i to są NASZE dzieci – mówi Krzysztof.

Pierwszą decyzją była zmiana imion. Te nadane przez biologicznych rodziców nigdy nie przeszły przez usta Anny i Krzysztofa. Nikt w rodzinie nie wie też, jak dzieci nazywały się wcześniej. – Dla nas urodziła się Anielka i Franio – tłumaczą.

Pierwsze problemy

Pierwsze chwile to miodowy miesiąc, czas, gdy rodzice chcą dać dzieciom wszystko to, czego nigdy nie miały. – Jak każdy adopcyjny rodzic popełniliśmy błąd. Chcieliśmy tym maluchom nieba przychylić, byliśmy ich bardzo spragnieni, chcieliśmy, by czuły się z nami jak najlepiej – tłumaczy Krzysztof.

Miodowy miesiąc trwał... tydzień. Wszystko się zmieniło przy wspólnym obiedzie, gdy Anielka poważnie spojrzała na Annę i powiedziała: „nie Ty tu będziesz rządzić, tylko ja". – Na początku wybuchnęłam śmiechem, ale za chwilę pomyślałam, że córcia ma rację. Robię to, co ona chce, a nie odwrotnie. Wtedy doszliśmy z mężem do wniosku, że nadal będziemy dawać dzieciom wszystko, ale na naszych warunkach. No i się zaczęło... – opowiada Anna.

Gdy Anielka nie dostawała tego, co chciała, wpadała w furię. Piekło trwało trzy-cztery tygodnie. Godzinami płakała, krzyczała, wzywała pomocy i biła piąstkami w drzwi wejściowe. Ze zmęczenia usypiała w korytarzu, a po obudzeniu się zaczynała od początku. Była też złośliwa,

krzywdziła brata i psa. – Nie byliśmy na to przygotowani. Anielka nie pozwalała się przytulić, nie dała sobie nic wytłumaczyć. W ogóle była jak jeż. Na każdą czułość z naszej strony wystawiała kolejne kolce. Nie wiedzieliśmy już, co robić, eksperymentowaliśmy. Przez miesiąc nie kontaktowaliśmy się z rodziną, przyjaciółmi. Nie zadzwoniliśmy też do ośrodka, bo jak się przyznać do własnej słabości i to na samym początku? Obłożyliśmy się książkami, ale i to nic nie dało – wspominają.

W tej całej bezradności starali się Anielkę zrozumieć. – To mała, wrażliwa dziewczynka. Zabrana z domu w jednym ubraniu i wywieziona w nieznane miejsce, do ludzi, z którymi nie potrafi się porozumieć. To dzieciątko musiało sobie z tym poradzić. W pewnym momencie powiedziałam jej, że rozumiem ją i że pozwalam jej płakać. I co się stało? Płacz zniknął. Wyciszyła się. Miała jeszcze kilka napadów furii, ale to już było nic w porównaniu z tym, co zgotowała nam na początku – twierdzi Anna. – Początki całego tego procesu nie są łatwe. W pierwszych dniach człowiek chodzi w chmurach i ze szczęścia nie widzi ziemi. W pewnym momencie jednak dochodzi do ściany i nie wie co ma zrobić – dodaje Krzysztof.

Przeznaczenie

Franio to czysta karta, Anielka wciąż pamięta dom, choć dziś rzadko go wspomina. Na początku często mówiła o „ojcu", nigdy nie użyła słowa „tata". I zwierzyła się Annie, że „ojciec ją bił". Zresztą jeszcze długo po przeprowadzce do nowego domu na gwałtowniejszy ruch ręką reagowała kuleniem się. – Nigdy pierwsi nie zaczynamy tego tematu. Jeśli Anielka ma potrzebę, to rozmawiamy, ale sami nigdy jej nie prowokujemy – mówi Anna. W rozmowie częściej wraca za to do rodziny zastępczej, u której razem z Franiem spędzili 11 miesięcy. I wspomina książkę *Jaś i Małgosia*, dziś w domu zakazaną, bo przywołującą złe emocje, szczególnie w kontekście pobliskiego lasu.

Minęły ponad dwa lata odkąd dzieci są z Anną i Krzysztofem. – Kochamy je i nie wyobrażamy sobie życia bez nich. Przyjaciele mówią czasem: trzeba było wcześniej to zrobić. Nie mogliśmy. Nie było Anielki i Frania. To było przeznaczenie. To są nasze dzieci – zapewniają zgodnie.

Dziś Aniela jest inną dziewczynką. Przez ten czas wykonała ogromną pracę logopedyczną, poszła do przedszkola, na terapię, zaczęła rysować. Świat na zamalowanych przez nią kartkach nie jest już czarno-brązowy, pojawiły się kolory, uśmiechnięte postaci. Pomału, małymi kroczkami, zdobywa kolejne cele.

Anna i Krzysztof nie ukrywają przed dziećmi adopcji. – Anielka zapytała mnie ostatnio, czy ją urodziłam. Powiedziałam prawdę, oczywiście językiem, który był dla niej zrozumiały. Wytłumaczyłam, że jest wyjątkowa, bo choć jej nie urodziłam, to długo nosiłam w serduszku. Wiedziałam, że jest gdzieś na świecie, czeka na mnie i że muszę ją znaleźć. Nie ukrywała złości, a w odpowiedzi usłyszałam: „nie chcę mamy, co mnie nie urodziła". Rozpłakałam się, a po krótkiej chwili ona mnie przytuliła i powiedziała, że bardzo mnie kocha – wzrusza się Anna. – Anielka i Franio wiedzą, jak bardzo ich kochamy, każdego dnia im to okazujemy – dodają. I choć Anielka często wraca do tematu swojego urodzenia, teraz już wszystkie informacje przyjmuje ze spokojem i coraz większym zrozumieniem. Adopcja jest ich małą tajemnicą. Koleżankom w przedszkolu Anielka nic nie mówi.

Anna i Krzysztof są dziś gotowi na przyjęcie kolejnych dzieci. Już zapowiedzieli w ośrodku, że jeśli ich maluchy mają rodzeństwo, to – w przypadku pozbawienia matki praw rodzicielskich – chcą z nimi stworzyć rodzinę. – Śniło mi się kiedyś, że jesteśmy na balu mikołajkowym dla rodzin adopcyjnych i pani Agnieszka mówi mi, że Anielka i Franek mają rodzeństwo. Jesteśmy gotowi. Czekamy – zapewnia Anna.

Rodzicielstwo bez granic

Monika Rosmanowska

Gdy dowiedzieli się, że nie mogą mieć dzieci, od razu pomyśleli o adopcji. Bo jakie znaczenie ma to, w jaki sposób maluch pojawi się w ich życiu? Niemożność zajścia w ciążę nie wyklucza przecież rodzicielstwa. I tak w niespełna rok stali się mamą i tatą dla dwójki uroczych dzieciaków.

Magda i Paweł są rodzicami pięcioletniej Zosi, adoptowanej w 2014 roku i trzyletniego Wojtusia, który do rodziny dołączył rok później. Także po adopcji. Dzieciaki nie są rodzeństwem biologicznym, a ich historia mogłaby posłużyć za scenariusz do filmu z happy endem. – Gdy była już z nami Zosia, przyjechaliśmy z nią na imprezę mikołajkową organizowaną przez kielecki ośrodek adopcyjny. W luźnych rozmowach z jego pracownikami wspomnieliśmy o drugim dziecku. Pytałam, jakie są możliwości, czy w ogóle mamy szansę. W odpowiedzi usłyszałam, że powinniśmy zaktualizować dokumenty, w tym orzeczenia lekarskie, które straciły już ważność – opowiada Magda. I tak zrobili. – W ośrodku poproszono nas jeszcze o jak najszybsze przesłanie papierów, najlepiej natychmiast. 30 grudnia poznaliśmy Wojtusia – śmieje się Paweł.

Dwoje dzieci, dwie różne historie

Wojtuś miał jasną sytuację. Jego biologiczna mama zrzekła się praw rodzicielskich jeszcze przed jego narodzinami. Wiedziała, że w pojedynkę nie wychowa syna. Dopilnowała wszelkich formalności, co znacznie przyspieszyło adopcję. Gdy Wojtek trafił do Magdy i Pawła, miał zaledwie dwa miesiące.

W przypadku Zosi procedury przeciągały się. – Kurs dla rodzin adopcyjnych skończyliśmy w lipcu, a Zosię poznaliśmy 23 grudnia, tuż przed jej pierwszymi urodzinami. Jej biologiczna mama to młoda dziewczyna, która nie poradziła sobie z nowymi obowiązkami. Przez chwilę

próbowali wprawdzie z partnerem stworzyć dla małej dom, ale się nie udało. Gdy Zosia miała dwa miesiące, trafiła do rodziny zastępczej – wspomina Magda. – Kiedy nas poznała, była tam już od dziesięciu miesięcy, czyli przez zdecydowaną większość swojego krótkiego życia. Procedury mocno się przedłużały. Dopiero jesienią rodzice zostali pozbawieni praw. Sprawy w sądzie przeciągały się także i wtedy, gdy już pojawiliśmy się w jej życiu. Ale wreszcie się udało, mogliśmy odetchnąć z ulgą – przyznają.

Jeśli nie narodziny, to adopcja

Magda i Paweł mieszkają w Warszawie. Poznali się jeszcze w liceum, parą zostali na studiach. – Pobraliśmy się przed trzydziestką i zaraz po ślubie okazało się, że nie możemy mieć dzieci. W przeszłości miałam zabiegi medyczne, które źle się skończyły. Wiedzieliśmy, że chcemy zostać rodzicami. Skoro nie mogłam zajść w ciążę, naturalnym wyborem była adopcja – zapewnia Magda.

Zanim zgłosili się do ośrodka w Kielcach, przeczytali mnóstwo książek i odwiedzili parę, która adopcję miała już za sobą. To było inspirujące spotkanie. – Nie było we mnie potrzeby, by dziecko było krwią z mojej krwi. Nie miało znaczenia, w jaki sposób zjawi się w naszym życiu. Ulżyło mi, gdy pojawił się ten pomysł. Wiedziałam, że to nie koniec. To, że nie możemy urodzić dziecka, nie znaczy, że nie możemy zostać rodzicami – mówi Magda. Od początku myśleli o maluszku, najlepiej w wieku wczesnoprzedszkolnym.

Egzamin na rodzica

Trasę Warszawa-Kielce pokonywali raz w tygodniu, co wymagało nie lada determinacji. – Mieliśmy oczywiście chwile zwątpienia, czy damy radę to wszystko zrobić. Udział w kursie wymaga sporej organizacyjnej sprawności. Udało się – mówią z dumą.

Łatwo nie było. Magda nie raz się buntowała. – Same procedury są wymagające. Trzeba dostarczyć zaświadczenie o bezpłodności i inne tego rodzaju dokumenty, co ze względu na intymność sytuacji było dla mnie dość przykre. Również zajęcia, najczęściej dramowe, przeżywanie emocji przy obcych, było wyzwaniem. Cały czas czułam się też sprawdzana, nie dość dobra. Im dłużej jednak trwał kurs, tym bardziej się otwierałam – zapewnia. – Wszyscy, którzy

przychodzą na pierwsze zajęcia, mają wizję tego, jak będzie pięknie i idealnie, gdy dziecko pojawi się w ich domu. I wtedy słyszą, że dzieci przeznaczone do adopcji, to maluchy z problemami, pochodzące często z rodzin, w których jest alkohol. Opowieści o studentce, która zaszła w ciążę z profesorem można włożyć między bajki. Prowadzący zajęcia uczciwe i jasno stawiają sprawę, konfrontują oczekiwania z rzeczywistością, odzierają ją z różowo-cukierkowych barw. Kurs to dobry czas, by wszystko w sobie przetrawić – dodaje Paweł.

U Magdy i Pawła ani na chwilę nie pojawiło się zwątpienie. Czasem się denerwowali, nie wytrzymywali emocjonalnie. – Kurs uczy pokory. Początkowo myśli się o sobie i swoich uczuciach. Szybko jednak człowiek przestawia się na myślenie, że to nie jego, ale dziecka dobro jest najważniejsze. To ja muszę wykazać, że nadaję się na rodzica. To swego rodzaju egzamin, nie do końca komfortowa sytuacja – zwraca uwagę Paweł.

Dziś chętnie korzystają z tego, co wtedy usłyszeli. – Nasi znajomi, którzy mają swoje biologiczne dzieci, zazdroszczą nam nawet, że mogliśmy wziąć udział w takim kursie. Oni sami musieli się uczyć bycia rodzicami. My dostaliśmy całkiem niezłe przygotowanie do wychowania – zapewnia Paweł.

Małe rozterki

Przyjście dzieci – co oczywiste – wywróciło ich życie do góry nogami. Rzadko wychodzą wieczorami ze znajomymi, stracili też kontrolę nad własnym kalendarzem. Nawet naszą rozmowę zaczynamy po godzinie 22, gdy dzieci są już w łóżeczkach.

Początki nie były łatwe. Mimo, że Zosia miała zaledwie rok, mocno przeżywała przeprowadzkę i rozstanie z rodziną zastępczą. – Nie potrafiła powiedzieć, co czuje, ale długo nie chciała, żeby ją przytulać. W chwilach smutku chciała być sama w łóżeczku, otoczona ulubionymi zabawkami. Tam czuła się bezpiecznie – mówi Magda. Gdy wychodzili na spacer, stawała przed ludźmi siedzącymi na ławce i przyglądała się im bez słowa. Szukała twarzy, które przez dziesięć miesięcy codziennie oglądała. – Na kursie mówiono nam, że tyle ile dziecko ma lat, gdy trafia do adopcji, tyle czasu będzie później nadrabiać, zasypywać uczuciową przepaść. I u Zosi tak właśnie było. Sytuacji nie ułatwiło na pewno to, że w krótkim czasie dwukrotnie się przeprowadzaliśmy – przyznaje Magda.

Małżeństwo co roku całe wakacje spędza nad morzem. Z Zosią po raz pierwszy wyjechali niedługo po tym, jak do nich trafiła. A po powrocie przeprowadzili się do nowego mieszkania. – Nad morzem bardzo nas pilnowała. Gdy mąż szedł do łazienki, kładła się pod drzwiami. Bała się, że znów coś się w jej życiu zmieni – mówi Magda. Jakby tego było mało, po niecałym roku pojawił się w domu młodszy brat.

Z rodzinami zastępczymi nie utrzymują kontaktu. – W przypadku Wojtka nikt od nas tego nie oczekiwał, z Zosią było inaczej. Emerytowane małżeństwo, które się nią opiekowało, chciało uczestniczyć w naszym życiu. Pojawiły się pretensje, że się nie odzywamy. Jesteśmy im bardzo wdzięczni za opiekę nad Zosią. Mała była z tymi ludźmi związana, ale chcąc z nią nawiązać nową więź, musieliśmy się odciąć – tłumaczą.

Rodzeństwo

Zosia przyjęła Wojtka bardzo naturalnie. Początkowo był swego rodzaju ciekawostką, dziś opiekuje się młodszym bratem i broni go. – W sytuacji, gdy pojawia się kolejne dziecko, temu pierwszemu trzeba poświęcić jeszcze więcej czasu. To ono coś traci, drugie tylko zyskuje. Dlatego to potrzeby Zosi były zaspokajane jako pierwsze. Mimo naszych starań na pewno przeżyła pojawienie się Wojtka. Domagała się uwagi, wróciła do smoczka. Dziś dobrze się czuje w roli starszej siostry. Zapytała mnie też ostatnio, czy nie jestem za stara, żeby mieć jeszcze dzidziusia – śmieje się Magda.

Zosia nie usiedzi w miejscu, jest w ciągłym ruchu. Wojtuś jest spokojniejszy, mniej wybuchowy. Dziewczynka potrzebuje towarzystwa, chłopczyk to indywidualista. Mimo to, choć zdarza się, że i przy użyciu siły, świetnie się dogadują. – Jechaliśmy niedawno w dłuższą podróż i zaczęłam się przysłuchiwać ich rozmowie. Wtedy poczułam, że mają wspólne tematy, że razem mogą robić różne rzeczy – cieszy się Magda.

Rozmowy o adopcji

Najbliżsi od początku wspierali Magdę i Pawła. – O adopcji zawsze rozmawialiśmy otwarcie. Wspólnie zastanawialiśmy się, jak rozwiązać pojawiające się problemy, dzieliliśmy się przemy-

śleniami, obawami. Oczywiście pewne decyzje, przeżycia były tylko między nami dwojgiem. Po pierwszym spotkaniu z Zosią od nikogo nie odbieraliśmy telefonów – przyznają.

Zosia i Wojtuś to pierwsze dzieci w ich rodzinie. Każde święta spędzają w większym gronie. Dzieciaki są rozpieszczane, na nich skupia się cała uwaga, wszyscy się nimi zachwycają. I tylko babcia była w lekkim szoku, gdy zobaczyła zdjęcie Wojtusia. – Nasz syn jest mulatem. I babci wyrwało się pytanie, czy „nie było już białych sierotek?". Szybko się jednak zmitygowała. Nic złego nie miała na myśli. Ma 90 lat i jej świat jest inaczej poukładany – zapewnia Paweł.

Ciemniejszy odcień skóry u Wojtusia budzi zainteresowanie. – Gdy jesteśmy nad morzem, ludzie zatrzymują się, by zrobić sobie z nim zdjęcia. Jest egzotyką. Mamę kiedyś sąsiadka zapytała, czy zięć jest z zagranicy. Udając, że nie wie, o co chodzi odpowiedziała: „nie, z Ostrołęki". Ostatnio w metrze nieznajoma dopytywała, czy każde dziecko mam z innym partnerem. Takich dziwnych i zaskakujących sytuacji jest mnóstwo. Muszę się nauczyć bezczelnie odpowiadać na bezczelne pytania – przekonuje samą siebie Magda.

Wojtuś widzi, że wygląda inaczej i zaczyna go to nurtować. – Przez to i temat adopcji szybko się pojawił, ale to dobrze, bo nie zamierzaliśmy tego przed dziećmi ukrywać. Zosi to na razie nie zainteresowało, nie drążyła tego tematu, nie zadawała pytań. Co jakiś czas upewniam się tylko, czy pamięta, czy wie, ale nie wracam do tej kwestii zbyt nachalnie. Nie chcę tylko, by tę informację wyparła i później dowiedziała się od kolegów z podwórka – tłumaczy Magda.

Wojtuś jest na etapie mówienia o biologicznej mamie i tacie. – „Jak byłem mały...", zaczyna swoje opowieści. To jest oczywiście zbiór fantazji, w których pojawiają się i biologiczni rodzice, i smoki. Czasem też dopytuje o różne rzeczy. Widzi, że wygląda inaczej i próbuje to sobie wytłumaczyć – nie ma wątpliwości Paweł.

Fakty i mity

To, z czym Magda i Paweł wciąż próbują walczyć, to mity na temat adopcji. – Ludzie nas podziwiają, mówią że jesteśmy bohaterami. A my po prostu zrealizowaliśmy swoją potrzebę kochania i bycia kochanym. To instynkt, chęć opiekowania się małym człowiekiem. To daje ogromną radość i poczucie spełnienia – zapewniają.

Dziwne opinie i pytania wciąż wracają. Jedna z koleżanek zapytała Magdę, jak zwracają się do niej dzieci. Inni znajomi byli przekonani, że maluchy zabiera się bezpośrednio od rodziców biologicznych. Z niewiedzy wynikają też różne problemy. Wiele codziennych spraw nie do końca jest uregulowanych w przepisach. – Dziś dyskutujemy na gorące tematy, często dzielące społeczeństwo. Jednym z nich jest podejście do in vitro i kwestia jego refundacji. Jej przeciwnicy w ogóle nie mówią o adopcji jako alternatywie. Ten wątek nie pojawia się w publicznym dyskursie, nie jest argumentem w debacie. Może też dlatego wiele zagadnień z tym związanych wciąż jest pozostawionych swobodnej interpretacji i nie ma uregulowania w prawie, na przykład kwestia wyrobienia nowej książeczki zdrowia – zwraca uwagę Paweł. – Mamy takie same problemy, jak biologiczni rodzice. Kiedy spotkam się ze znajomymi, wymieniamy bardzo podobne doświadczenia. Gdy zaczynaliśmy proces adopcyjny, wielokrotnie wracało do mnie pytanie „czy to się uda?". A dlaczego miałoby się nie udać?! Tak samo możemy się sprawdzić lub zawieść jako biologiczni rodzice – dodaje Magda.

Dzieci z bajki

Beata Ryń

Nad ranem obudził ją intensywny zapach maggi. W półśnie poszła do kuchni. Zawartość dolnych szuflad i szafek leżała na podłodze, a maluchy, umorusane czekoladowym kremem, polewały keczupem i przyprawą do zup kopczyk usypany z cukru, mąki i kawy. Roześmiała się głośno.

...długi majowy weekend minął błyskawicznie, ale Ida z chęcią wróciła do pracy. Uwielbiała być przedszkolanką, zawód wymarzyła sobie w dzieciństwie. Dzieci lgnęły do drobniutkiej, rudowłosej i zawsze uśmiechniętej „pani". Rodzice lubili z nią rozmawiać. Doceniali jej charyzmę, kompetencje, które nieustanne szlifowała na kolejnych kursach i podyplomowych studiach.

W kieszeni sportowej bluzy poczuła drżenie telefonu. Nie rozstawała się z nim, odkąd uzyskali z Piotrem kwalifikację na rodziców adopcyjnych. Zadeklarowali, że chcą rodzeństwo. Wydawało jej się, że czeka całe wieki. Była tak zniecierpliwiona, że kilka dni wcześniej zadzwoniła do ośrodka. Usłyszała, że jeszcze nie ma dla nich dzieci.

Wyjęła z kieszeni telefon i odebrała go machinalnie, nie patrząc na numer. – Czy coś się stało? – dzieci i rodzice z niepokojem patrzyli na Idę. Łzy same płynęły po jej policzkach. Nie potrafiła wykrztusić słowa. Pokręciła przecząco głową i pobiegła do gabinetu dyrektorki. – Boże! Będę miała dzieci! Chyba muszę zrezygnować z pracy. Pójdę na macierzyński! – wyrzuciła z siebie w progu. Obie płakały i obejmowały się. Wykręciła numer do Piotra, ale tyrada bezładnych słów, przerywana łkaniem, tylko go wystraszyła, nie rozumiał, co chciała mu powiedzieć. Dyrektorka wyrwała jej telefon: – Panie Piotrze, macie dzieci.

Domek w lesie

Historia czteroletniego Igora i dwuletniej Marysi opisana była w dokumentach zamkniętych w teczce. Przekazano im ją w ośrodku adopcyjnym. Mieli zastanowić się i poinformować, czy są

gotowi na spotkanie z nimi. Byli, od wielu miesięcy, odkąd zdecydowali się na adopcję. Nie obchodziło ich, czy dzieci mają wady rozwojowe, czy matka w czasie ciąży piła, kim byli ich rodzice biologiczni. Ich oczekiwania zamykały się w dwóch słowach „chcemy rodzeństwo". Ida i Piotr szukali w teczce informacji, które pomogą im w przyszłej opiece nad Igorem i Marysią. Wertowali kartki i głośno planowali, jak zająć się dziećmi, do jakich specjalistów się udać, co ćwiczyć.

Pomocy wymagał Igor. Przy niewydolnej wychowawczo, uzależnionej od alkoholu matce był aż trzy lata. Ten czas spędził głównie w łóżeczku, ono było jego całym światem. Klatką, w której uwięziła go matka. Gdy płakał z głodu, starszy o trzy lata braciszek karmił go tym, co znalazł w domu, głównie chlebem z pasztetową. Do rodziny zastępczej przyjechał upośledzony ruchowo, nie mówił. Trzylatek porozumiewał się monosylabami: „je" i „pi" oznaczały, że jest głodny lub spragniony. Marysia była z biologiczną matką rok, nawet jej nie pamiętała. – Marynia często łapie anginę. Zupełnie jak ty – świergotała Ida. – Ona ma absolutnie twój charakter – oceniała po przeczytaniu kolejnych kartek. – To co? Formalności za nami, a teraz do dzieci – Piotr zamknął teczkę.

– Niektóre pary rezygnują na tym etapie procesu adopcji. Trudne historie dzieci wywołują w nich lęk, który gasi pragnienie rodzicielstwa. Zawsze namawiamy rodziców, aby nie podejmowali decyzji pochopnie, pod wpływem emocji, gruntownie ją przemyśleli. Musi być podjęta wspólnie i świadomie. W przypadku tych państwa, gotowość do przyjęcia roli rodziców adopcyjnych była nadzwyczajna – ocenia Anna Sokołowska-Smołkowska, dyrektor Świętokrzyskiego Ośrodka Adopcyjnego.

Kupili zabawki i biszkopty. Razem z pracownikiem ośrodka pojechali na pierwsze spotkanie z Igorem i Marysią. Droga wiodła przez piękny las, gdzieś w głębi znajdował się dom rodziny zastępczej, w której były ich dzieci, chłopczyk i dziewczynka. – Zupełnie jak w bajce Idy – pomyślał Piotr. – Jakby przepowiedziała historię naszego życia.

Kandydaci na rodziców adopcyjnych, podczas obowiązkowego szkolenia w ośrodku adopcyjnym piszą bajki dla swoich dzieci. – Ma to ich przygotować do ujawnienia dziecku faktu przysposobienia. Na etapie szkolenia jawność adopcji stanowi jedną z elementarnych kwestii rozważanych przed przyjęciem dziecka. Pisząc bajkę, przyszli rodzice mają szansę oswoić się z myślą, że

przyjęte przez nich dziecko nie jest biologicznym potomkiem i ma prawo do posiadania pełnej wiedzy o sobie i swojej historii pochodzenia. Rodzice adopcyjni winni tę przeszłość odtworzyć i zaakceptować – mówi Beata Wieczorek, pedagog w Świętokrzyskim Ośrodku Adopcyjnym.

W miarę zbliżania się do celu rósł w nich strach, czy zostaną zaakceptowani jako rodzice. Piotr zastanawiał się, jak przyjmie go Marysia. Dowiedział się, że dziewczynka boi się mężczyzn. Stremowani weszli do pokoju, w którym czekało na nich rodzeństwo. To było olśnienie, miłość od pierwszego wejrzenia. Jakby nie chcieli tracić więcej czasu na życie bez siebie. Drobniutka, wielkooka blondyneczka wspinała się na kolana Piotra i karmiła go biszkoptami. Dzieci wybrały „mamę" i „tatę", a oni w jednej chwili zatracili się w rodzicielstwie.

W drodze powrotnej planowali wspólną przyszłość. – Trzeba szybko zrobić remont mieszkania, fajnie urządzić pokój dzieci, kupić łóżeczka – przerzucali się pomysłami. Obmyślali, jak pogodzić nowe obowiązki z wymagającą pracą Piotra: jako handlowiec wiele podróżował. Ich życie przyspieszyło. Ustalili priorytety. Teraz najważniejsze było, by jak najwięcej czasu spędzać z dziećmi. Piotrek wracał z pracy o różnych porach, wsiadali do auta i pędzili do dzieci, 80 kilometrów w jedną stronę. Wracali w nocy, a jeszcze ten remont mieszkania.

Najtrudniejsze było trzecie spotkanie. Igor nie pozwalał im odejść. Wygrzebał jakąś torbę i pakował do niej swoje ubrania i zabawki. Chciał jechać z nimi. Nie słuchał, gdy tłumaczyli, że jeszcze nie mogą być razem. Ida płakała całą drogę do domu. Piotrek nie potrafił jej pocieszyć.

– Rodzice adopcyjni odwiedzają swoje dziecko w rodzinach zastępczych przez taki czas, jaki jest potrzebny im samym, ale przede wszystkim dziecku. Nie da się określić liczby spotkań oraz czasu trwania każdego z nich. Ważne jest, żeby kontakty z dziećmi odbywały się regularnie, a rodzice adopcyjni otrzymali możliwość ze strony rodzin zastępczych do poznawania dziecka w różnych momentach ich dobowego rytmu życia, nie tylko po południu, ale też rano, czy w środku dnia – podkreśla Beata Wieczorek.

Anna Sokołowska-Smołkowska: – To kwestia bardzo indywidualna, uzależniona od otwartości dziecka na poznawanie przyszłych rodziców, jego dotychczasowego doświadczenia życiowego w relacjach z dorosłymi oraz możliwości nawiązania więzi emocjonalnych. Dla kandydatów to moment na poznawanie przyzwyczajeń dziecka, jego sposobu funkcjonowania

w różnych sytuacjach domowych i społecznych. Zyskują także czas na przygotowanie swojego domu na przyjęcie dziecka. Dla rodzin zastępczych i dzieci w nich umieszczonych, jest to także moment na przygotowanie się do rozstania.

Wspólne życie

Wprowadzali dzieci do swojego domu pełni obaw. – Czy na pewno będą u nas szczęśliwe? Czy ich nie skrzywdzimy? Czy nie „zaniuniamy"?

Pedagogiczne wykształcenie Idy i jej praca z rodzeństwem szybko dawały efekty. Przyjęli do siebie dzieci, które nie potrafiły mówić. U nich zaczęły wypowiadać pełne zdania. Ida była wymagająca, gdy mówiły niechlujnie lub sepleniły naciskała: – Jeszcze raz, ładnie i wyraźnie. Wiem skarbie, że potrafisz. Igor często się buntował, a Marysia, obserwując brata, też odmawiała współpracy. Wówczas wkraczał Piotr, był stanowczy. Igorowi to imponowało, bardzo potrzebował taty.

Mięśnie Igora były słabe, nie radził sobie na najprostszych urządzeniach na placu zabaw. Jego ciałko przypominało bezkształtny worek. Martwili się o niego. Chłopczyk nie miał żadnej mimiki twarzy. Nie potrafili z niej wyczytać smutku, radości, stresu. Wizyty u specjalistów wykluczyły zespół Möbiusa, odetchnęli wtedy z ulgą.

Piotrek zabierał dzieci na spacery do lasu: „jak będziecie grzeczni, to może spotkamy sarenkę? Myślę, że znajdziemy coś smacznego", zachęcał. Marysia wczepiona w rękę Piotra była zafascynowana rodzinnymi wyprawami. Igor nieufnie rozglądał się po wielkiej przestrzeni. Zbierał liście i mech, podtykał sobie pod nos, zapamiętywał ich zapach. Piotr pokazał im owoce dojrzałych, czarnych jeżyn i pozwolił jeść prosto z krzaka. Igor wąchał każdą jeżynę, zanim wsunął ją sobie do ust.

Dzieci szły spać, a Ida i Piotr podsumowywali dzień, analizowali zachowania swoje i maluchów. Szukali błędów i omawiali jak je naprawić, przygotowywali się na kryzys, który musiał przyjść. Powinni być wówczas silni.

Przez ściany w bloku, w którym mieszkają, słychać sąsiedzkie życie. O czwartej rano Igor włączał na cały regulator muzykę disco polo w telewizorze. Tłumaczenie Piotra nie skutkowało, musiał ukrywać piloty. Ida przepraszała sąsiadów, wyjaśniała, że różne sytuacje mogą się jeszcze wydarzyć. Oni uspokajali ją, udawali, że nic nie słyszeli, mówili żeby się nimi nie przejmowała. Igor nie

pozwalał się przytulać, bywały noce kiedy rozpaczliwie wył i nie sposób było go uspokoić.

Przypadkowo znaleziona fotografia przypomniała mu matkę zastępczą – Karolinę. Przyniósł wielkie pudło i zaczął się pakować. – Wyprowadzam się do Karoliny – powiedział po swojemu.

– Dobrze – odparła Ida – pomogę ci się spakować. Prowokacyjnie podtykała mu rzeczy, które powinien zabrać ze sobą. Miała nadzieję, że to go powstrzyma. Igor jednak konsekwentnie upychał je w pudle. Wtedy dotarło do niej, że syn mówi poważnie, a to nie jest kolejna próba, której ją poddawał. A nawet jeśli była, to tym razem okazała się ponad jej siły. Rozpłakała się.

– Synku ja ciebie tak bardzo kocham, tata cię kocha.

– Nie lubię cię i nie kocham. Chcę mieszkać z Karoliną.

– Ale ja ciebie kocham i nic tego nie zmieni – prosiła.

Ze szkolenia w ośrodku adopcyjnym, przeczytanych książek i fachowych artykułów, wiedziała, że taka sytuacja może się wydarzyć. Teraz przekonała się, jak to bardzo boli. Opadła z sił. Wtedy podeszła do niej Marynia i zawisła na szyi jak mały koala. – Nie płacz, ja cię kocham mamusiu – wyszeptała. Igor przerwał pakowanie.

Kryzys trwał rok, dokładnie tyle, ile przewidziała psycholog z ośrodka adopcyjnego. Igora odmienił rodzinny wyjazd do parku rozrywki „Czarodziejskie Ogrody". Piotrek żartuje, że jakaś wróżka dotknęła go tam czarodziejską różdżką. A jeszcze tydzień przed wyjazdem Igor dał im solidnie w kość. Był marudny, niegrzeczny i odpychający. Za to po powrocie zamienił się w czułego, uśmiechniętego, pragnącego przytulania i uwagi chłopca. Ucieszyli się, że przetrwali najgorsze. Teraz już będzie z górki.

Kilka dni po powrocie z wycieczki, Ida odebrała telefon z ośrodka adopcyjnego. Biologiczna matka Igora i Marysi była tuż przed porodem. Planowała zrzeczenie się praw rodzicielskich, a więc dziecko będzie wolne prawnie. Szukają dla niego rodziców.

– Mamy prawny obowiązek informować rodziców, o tym, że na świat przyjdzie rodzeństwo ich dzieci. Owszem, delikatnie pytamy o możliwość przyjęcia dziecka do rodziny, zabiegamy o to, aby nie rozdzielać rodzeństw. Nigdy jednak nie naciskamy, nikogo nie zmuszamy. Rodzice sami muszą ocenić swoją gotowość, przeanalizować, czy mają wystarczający potencjał, aby zaopiekować się kolejnym dzieckiem. Jeśli odmówią, przyjmujemy to ze zrozumieniem – mówi Beata Wieczorek.

– Nie. Absolutnie nie. Nie damy rady z trójką dzieci – odpowiedziała Ida. Przegadała to wcześniej z mężem. Piotrek miał nienormowany czas pracy, większość rodzinnych obowiązków spoczywała na jej barkach. Zaczną się pieluchy, kaszki, ząbkowanie, nieprzespane noce, a oni ledwo złapali oddech. A co będzie w przyszłości? Utrzymanie na studiach dwójki dzieci to wielki wysiłek finansowy. Uzgodnili, że podjęli słuszną decyzję. Nie przyznawali się przed sobą, że kiełkują w nich wątpliwości.

Ida przyszła na ślub koleżanki przed czasem. W kościele było cicho, rozmyślała o mającej przyjść na świat dziewczynce. Czy dzieci im to wybaczą, że jej nie wzięli? A jeśli za dziesięć lat usłyszą od nich, „mogliście dać dom naszej siostrze, ale tego nie zrobiliście". Myśli rozsadzały jej głowę, dręczyły. Nie potrafiła tego przerwać. Po powrocie poinformowała Piotra, że jest zdecydowana na przyjęcie Gosi. On sam od kilku dni myślał o adoptowaniu dziewczynki, ale nie chciał obarczać Idy. – Jesteś pewna, będziesz sama z całą gromadką przez pół dnia? – dopytywał. – Dam radę, przynajmniej ta trójka nie będzie się szukać – zadecydowała.

Czekając na Gosię

Trudno umówić się na spotkanie z Idą i Piotrem. Wiecznie zagonieni, ostatnie formalności związane z adopcją Gosi wymagają wizyt w ośrodku, a każdą wolną chwilę chcą spędzać z córeczką. W drzwiach ich mieszkania mijam uśmiechniętą blondynkę. – To sąsiadka, pracujemy razem. Bardzo mi pomaga przy dzieciach – wyjaśnia Ida. Pod nogami kręci się rudy kundelek, szczeka głośno. – Cicho Rocky! Dzieci obudzisz – karci go. Paweł jest jeszcze w pracy.

Ida nie potrafi usiąść w miejscu, kręci się po kuchni i salonie. Przysiada a to w fotelu, a to na krześle przy balkonie. – Dopóki Marynia śpi, bo ostatnio wymyśliła sobie, że to krzesło jest tylko jej i wszystkich z niego przepędza – śmieje się. Nie chce opowiadać o biologicznej matce dzieci. – Nie mam prawa jej osądzać. Nie wiem, jakie miała życie. Może zabrakło wokół życzliwych ludzi, którzy by jej pomogli i zagubiła się.

Chrobotanie klucza w zamku drzwi wejściowych oznacza, że do domu wraca Piotr. Dzieci jak na komendę budzą się z popołudniowej drzemki. – Tata! – biegną do niego z radosnym krzykiem. – To jest najwspanialsze. Każdy mój powrót do domu tak wygląda – śmieje się i przygarnia do siebie dzieci.

Piotr opowiada, że rodzeństwo przyjęło informację o siostrzyczce z euforią. Jakby wiedziały, że gdzieś jest i czeka na nich. Kilka miesięcy wcześniej, wracając z przedszkola, Igorek namawiał Idę na „dzidziusia". – Pojechaliśmy do Gosi razem. Było tam troje dzieci w podobnym wieku. Od razu wiedzieli, która to ich siostra, zaraz do niej podbiegli – mówi Piotr.

– Trudno się pomylić, istna Marynia. Jak ją zobaczyliśmy, to natychmiast poczuliśmy, że to nasze dziecko – dodaje Ida.

Marysia gładzi Piotra po nieogolonej twarzy i robi kwaśną minkę. Wtula się w niego i środkowym paluszkiem delikatnie smyra po zewnętrznej stronie dłoni. – To wydaje się nieprawdopodobne, ale kilkumiesięczna Gosia powtarza te same gesty i też nie lubi mojego zarostu – śmieje się Piotr.

Igor przynosi z pokoju ulubioną zabawkę, to wielki, migający światełkami, grający robot na pilota. – Bardzo interesuje się muzyką i techniką. Zupełnie jak ja. Zawsze mi asystuje, gdy majsterkuję – mówi Piotr. – Dziś synu musimy zawiesić telewizor na ścianie. Chłopiec uśmiecha się na te słowa. Po dawnych kłopotach z mięśniami nie ma śladu. Wszędzie go pełno. Jest zgrabnym, rezolutnym sześciolatkiem. Trzyma dystans wobec obcych, ale gdy proszę, aby mi pokazał, jak się robi zdjęcia telefonem, natychmiast siada obok.

– Ale jutro jedziemy do Gosi? – Igor upewnia się, że rodzinne plany nie uległy zmianie. Razem z Marysią nie mogą się doczekać spotkania z siostrą. – Z trójką to będzie niezła jazda, już we dwoje potrafią napsocić. Wstają wcześnie, o czwartej, piątej rano i kombinują. Na początku szczególnie fascynowała je kuchnia, przyprawy, mąka, cukier. Potem lakier do paznokci Idy. Mieliśmy sporo sprzątania – opowiada z uśmiechem Piotr.

Ida pokazuje własnoręcznie zrobioną książkę. Okładkę zdobią kolorowe wstążki, serduszka i barwne dżety. Napracowała się, aby wyglądała pięknie i podobała się dzieciom. – Co to jest? Pokaż! – Marysia wyrywa mi książkę z rąk i przegląda kolorowe rysunki. – To bajka napisana dla was. Powstała zanim się spotkaliśmy – wyjaśnia Ida. Igor przysiada się do siostry, oboje przewracają kartki z kolorowymi obrazkami. Są na nich księżniczka i książę, zła czarownica, która rzuciła na nich klątwę, wróżki i elfy, które zabrały książęcą parę do domku w lesie, gdzie czekały na nich śliczne dzieci.

– Dziś wieczorem przeczytamy ją razem – obiecuje Ida.

Czekając na drugie dziecko

Monika Rosmanowska

– Nasz maluch już gdzieś jest – mówią Justyna i Jacek. Czekają więc cierpliwie. Nic nie zakładają, niczego nie oczekują i nie mają żadnych planów. Są przygotowani, także na ewentualne trudności. W końcu przeżyli już niejeden bunt własnego syna.

Justyna i Jacek są już rodzicami dziewięcioletniego Filipa. Zawsze jednak marzyli o dwójce dzieci. Gdy odchowali syna, postanowili postarać się o drugiego malucha. Wtedy Justyna usłyszała od lekarza, że to niemożliwe. – Ciąża mogłaby być niebezpieczna dla mnie lub dla dziecka – opowiada. Słowa lekarza zabrzmiały jak wyrok. Justyna była załamana. Do domu wróciła zapłakana. – To był dla mnie cios. Mąż, widząc moją reakcję, od razu podsunął pomysł adopcji – wspomina.

Wtedy jednak nie była jeszcze gotowa na podjęcie takiej decyzji. Najpierw musiała uporać się ze swoimi uczuciami i emocjami. – Potrzebowałam kilku miesięcy, by się wyciszyć. Najtrudniejsze było przekonanie samej siebie, że nie mogę urodzić dziecka i że adopcja jest realną alternatywną, ani lepszą, ani gorszą. Może nieco bardziej uciążliwą drogą, ale do przejścia. Najtrudniej było ułożyć to sobie w głowie i przestać się obwiniać – przyznaje. W tym czasie wszędzie: na ulicy, w sklepie, księgarni, kinie spotykała ciężarne kobiety. To bolało i przypominało o osobistej tragedii. Jacek – głos rozsądku – nie raz tłumaczył, że nie można tak rozpaczać po dziecku, którego nigdy się nie miało, że są inne sposoby, by mieć upragnionego malucha. – Dla mnie sytuacja od początku była jasna. Pojawił się problem i trzeba go było rozwiązać. Ryzyko urodzenia dziecka było zbyt duże. Nie chciałbym być postawiony przed wyborem – zdrowie i życie matki czy dziecka – racjonalizuje.

Potrzeba prawdziwych historii

Do ośrodka adopcyjnego zgłosili się w lutym 2017 roku, a dwa miesiące później złożyli wszystkie niezbędne dokumenty. Na kurs czekali niemal rok. W tym czasie odbyli różnego rodzaju rozmowy, przeszli przez testy psychologiczne i wizytę pracowników ośrodka w domu. Wszystko znosili cierpliwie i ze zrozumieniem. – Procedury nie były uciążliwe. Od początku wychodziłam z założenia, że są po coś. Pracownicy ośrodka muszą nas dobrze poznać – zwraca uwagę Justyna.

Zajęcia rozpoczęło siedem par i singielka. Jedno małżeństwo zrezygnowało. Taryfy ulgowej nie było. – Większość przekazywanych podczas kursu treści jest negatywnych. Problemy, choroby, FAS, czyli alkoholowy zespół płodowy, ograniczenia umysłowe u dzieciaczków... Trudno było się też cofać do różnych momentów w życiu, przypominać sobie różne rzeczy z przeszłości. Lubiłam jednak te zajęcia. Lubiłam słuchać pań prowadzących, patrzeć na ich zaangażowanie – wylicza Justyna.

Chętnie też dzielili się swoimi spostrzeżeniami z grupą. Zżyli się. Skrępowanie i stres szybko zniknęły. – Nikt z nikogo nie wyciągał na siłę informacji. Gdy pojawiał się temat i ktoś nie chciał zabierać głosu, to tego nie robił – uspokaja Justyna.

Dużo dały im również spotkania z rodzicami, którzy już adoptowali maluchy. Justyna to typ prymuski. Zanim zgłosili się z Jackiem do ośrodka, przejrzała bardzo dokładnie najróżniejsze fora internetowe poświęcone adopcji i przeczytała mnóstwo książek. – Tak jak kiedyś ciągle widziałam ciężarne, tak – gdy już zapadła decyzja o adopcji – wszędzie natykałam się na książki o tej tematyce. Nieraz zdarzało się, że sięgałam na półkę w księgarni po daną pozycję, bo spodobała mi się okładka czy tytuł. Gdy odwracałam książkę, by sprawdzić, o czym jest, okazywało się, że o adopcji... – śmieje się Justyna.

To, czego w literaturze jednak nie znalazła, czego jest jej zdaniem mało, to prawdziwe historie. To dlatego tak ciekawa była adopcyjnych rodziców i ich doświadczeń. O co chciała zapytać? Jak się zachowują dzieciaki? Jak zareagowały na nowy dom? Co robić w przypadku problemów? A nawet, jak sobie radzić z oczekiwaniem na dziecko? – Wszystko mnie ciekawiło – przyznaje.

Filip też czeka

Kurs skończyli w maju. Decyzję o kwalifikacji dostali w prezencie na Dzień Matki. Idąc za ciosem, tuż po Dniu Ojca zadzwonili do ośrodka, by się przypomnieć i potwierdzić swoją gotowość. Telefon jest zawsze w zasięgu ręki, a każdy numer z kierunkowym 41 wywołuje dziś przyspieszone bicie serca.

Rodzina ich wspiera i czeka na dziecko razem z nimi. Filip od początku jest zaangażowany w cały proces. – Nie wiedziałam, jak zacząć rozmowę z synem. Już wcześniej przebąkiwał, że chciałby mieć brata lub siostrę. Koledzy w klasie, którzy doczekali się rodzeństwa, chwalili się, jak jest fajnie. Gdy temat adopcji się pojawił, chcieliśmy wprowadzić w niego syna, dowiedzieć się, co o tym myśli. I wtedy sam zapytał, co to znaczy być adoptowanym. Musiał to gdzieś usłyszeć, na pewno nie od nas – opowiada Justyna.

Mama wytłumaczyła mu na przykładzie kota Stefana, który też miał innych rodziców, a później został przez nich adoptowany i jest dziś członkiem rodziny. – Spytałam wówczas, czy chciałby mieć brata lub siostrę, rodzeństwo, które byłoby przez nas adoptowane. Odpowiedział, że nie. Zaskoczyło mnie to, więc zaczęłam drążyć. Wówczas przyznał, że nie chciałby, aby ten maluch tęsknił za swoją mamą – mówi Justyna.

I znów odwołała się do kota, który na początku na pewno był zagubiony, ale dziś jest z nimi i kocha ich całym kocim sercem. – Od tego czasu Filip czeka i dopytuje, kiedy będzie maluch. Bardziej jest za bratem, bo chciałbym mieć kompana do gry w piłkę, ale zwierzył się babci, że jak będzie siostra, to tragedii też nie będzie. Wszystko, czym przestał się bawić, każe odkładać dla rodzeństwa – śmieje się. Są pewni, że Filip dogada się z bratem lub siostrą. – Myślę, że będzie tak jak z każdym rodzeństwem. Na początku wszystko będzie pięknie, a potem pojawią się spięcia. To naturalne – mówi Jacek.

Czy adoptowane dziecko Justyna i Jacek będą w stanie pokochać tak samo jak Filipa? – W ogóle nie myślimy w ten sposób. Nie zastanawiamy się, czy będzie gorsze czy lepsze, mniej czy bardziej kochane. Oczywiście zakładam, że droga do miłości będzie dłuższa. Gdy dziecko pojawia się w łonie matki, gdy przez dziewięć miesięcy rośnie pod jej sercem, jest czas, by je pokochać. Tutaj to dziewięć miesięcy będzie się toczyło w środowisku zewnętrznym. Nie jest to dla nas żadnym problemem – zapewnia Justyna.

Nasze dziecko już gdzieś jest

Starają się niczego sobie nie wyobrażać, nic nie zakładać, bo jak mówią: chcesz rozśmieszyć pana Boga, opowiedz mu o swoich planach. – Po co więc układać coś w głowie, a później martwić się, że nie wszystko wyszło tak, jak się założyło. Jak będzie, tak będzie – Justyna i Jacek z optymizmem patrzą w przyszłość. Nie wiedzą nawet, czy będą chcieli zmieniać imię dziecka. Wszystko zależy od tego, jakie to będzie imię, i ile ich dziecko będzie miało lat.

Myślą o maluchu, takim do 3 lat. I o dziewczynce, ale nie zamykają się na chłopca. – Nie mamy żadnego wpływu na płeć dziecka przy poczęciu. Pracownicy ośrodka doskonale znają dzieci i nas. Wiedzą, jak najlepiej nas ze sobą połączyć. Ciężko nad tym pracują, długo myślą. I jeśli będziemy twardo obstawać, że chcemy dziewczynkę, a pojawi się chłopiec... Dlatego nie możemy się upierać – mówi Justyna.

Nie szykują się specjalnie, jeszcze na to za wcześnie. – Nie wiemy, w jakim wieku będzie nasze dziecko, jakiej płci. Mamy ubrania po Filipie, ciuszki dla dziewczynki odkładają moje siostry. A miejsce? Zawsze się znajdzie. Nie chcę na razie specjalnych przygotowań. Dopiero wtedy denerwowałabym się, że wszystko jest, a dziecka nie ma – zdradza Justyna.

Czy spodziewają się problemów? Na pewno. Nie demonizują jednak sytuacji. – Że rodzeństwo się może ze sobą bić? A jak my dochodziliśmy swoich racji...? – śmieją się. Liczą na swoją intuicję i doświadczenie. – Bo cóż może nas zaskoczyć? Przeżyliśmy już bunt dwulatka, trzylatka, czterolatka... Zdajemy sobie sprawę, że w naszym domu pojawi się dziecko z historią, którą będziemy musieli poznać, zaakceptować i wiedzieć, jak zareagować na sytuacje kryzysowe. To nie będzie łatwe, ten maluch najpierw został odebrany matce, później trafił do rodziny zastępczej, do której też się przywiązał. Przez pewien czas musi być zagubiony, to oczywiste, ale wszystko da się przejść, wszystko jest do zrobienia – przekonują. I zapewniają, że w ośrodku zostali uzbrojeni w mnóstwo informacji i sposobów działania, z których chętnie będą czerpać. – Panie z ośrodka podczas zajęć wielokrotnie nas ostrzegały, że dziecko będzie nas testować, ale nasz syn też to robi. Jestem przekonany, że jeśli do adopcyjnego dziecka podejdzie się tak jak do swojego, to wszystko się ułoży – nie ma wątpliwości Jacek.

To, czego są pewni, to że nie będą ukrywać przed dzieckiem, że zostało adoptowane. – Jeśli

pojawią się pytania, to odpowiemy zgodnie z prawdą. Filip też nas pytał o to, skąd się wziął. Adopcji nie ukryjemy przed całym światem i zawsze znajdzie się ktoś, kto prędzej czy później uprzejmie doniesie. Nie chcielibyśmy, aby naszego dziecko miało do nas pretensje, że coś przed nim ukryliśmy – mówią. – Zresztą my, dorośli, często demonizujemy reakcje naszych dzieci. Tymczasem zwykle wystarczy prosta odpowiedź na proste pytanie – dodają.

Czekają więc i wiedzą, że ich córka czy syn już gdzieś jest i też na nich czeka.

Miłość, która umacnia

reportaż

Mama wszystkich dzieci

Beata Ryń

Otuliła się ciepłym płaszczem, ale dreszcze nie chciały ustąpić. Za chwilę Emilka zniknie z ich życia. Nie miała siły wziąć jej na ręce. Wyręczył ją syn, objął dziewczynkę i mocno przytulił, a potem popatrzył na matkę jakby oczekiwał cudu. Dotarło do niej, że musi wziąć się w garść. – Nie przedłużajmy tego – powiedziała i otworzyła drzwi.

Wtedy całą rodziną siedzieli przed telewizorem. Ciepły głos Krystyny Czubówny zapowiadał kolejny odcinek ulubionego serialu „Kochaj mnie". Główną bohaterką była porzucona Oliwka z zespołem Downa. Dziewczynka bardzo pragnęła rodzicielskiej miłości. Trójka dzieci Pawła i Marty miała jej pod dostatkiem, dlatego tak bardzo poruszył ich los dziewczynki. Chłopcy ukradkiem ocierali łzy, tylko sześcioletnia Weronika łkała głośno: „to niesprawiedliwe, zróbmy coś". W jednej chwili wspólnie podjęli decyzję, że dadzą dom porzuconemu dziecku.

– Nic nie wiedziałam o zasadach funkcjonowania rodziny zastępczej. Mieliśmy już trójkę własnych dzieci. Pomyśleliśmy, że po prostu damy miłość jeszcze jednemu – wspomina Marta, piękna, smukła blondynka. Pojechała z córką do Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie, wyjęła z torby kartkę i odręcznie napisała podanie, że chcą stworzyć rodzinę zastępczą.

– Rodzinami zastępczymi opiekują się i prowadzą nadzór nad nimi, a także dokonują kwalifikacji kandydatów na rodziców zastępczych – organizatorzy rodzinnej pieczy zastępczej działający w Powiatowych Centrach Pomocy Rodzinie a w Kielcach – Ośrodek Rodzinnej Pieczy Zastępczej – wyjaśnia Anna Sokołowska-Smołkowska, dyrektor Świętokrzyskiego Ośrodka Adopcyjnego. – Po zadeklarowaniu chęci stanowienia rodziny kandydaci muszą złożyć dokumenty zaświadczające między innymi o ich dobrym stanie zdrowia, dysponowaniu odpowiednimi warunkami mieszkaniowymi umożliwiającymi właściwą opiekę nad dzieckiem. Kolejnym etapem jest diagnoza psychologiczna kandydatów, a także wywiad w domu i roz-

mowy z ich biologicznymi dziećmi. Po wstępnej kwalifikacji kandydaci kierowani są na szkolenie. Dopiero po jego ukończeniu otrzymują pełną kwalifikację i mogą oczekiwać na przyjęcie dzieci. Zwykle nie trwa to długo. Na co dzień z rodzinami zastępczymi współpracuje koordynator, który pomaga im w sprawowaniu trudnej roli rodzica zastępczego. Rodzice zastępczy są zobowiązani do przekazywania informacji o powierzonych dzieciach co trzy lub co sześć miesięcy. Dzieje się to podczas posiedzeń zespołów do spraw oceny sytuacji dziecka pozostającego w pieczy zastępczej, w których biorą udział także przedstawiciele naszego Ośrodka.

Wigilijny gość

Plany Marty i Pawła o przyjęciu do domu tylko jednego dziecka spaliły na panewce.

W wygaszanym właśnie rodzinnym domu dziecka było rodzeństwo Patryk i Monisia oraz niespokrewniona z nimi trzyletnia Oliwka. Marta i Paweł nie mieli serca, by rozdzielać dzieci. Zgodzili się, by zamiast jednego dziecka przyjąć trójkę maluchów. Miały przyjechać późnym popołudniem, na dzień przed Wigilią. Marta przygotowała pomidorową i pulpeciki z ziemniaczkami na drugie. Wszyscy czekali pełni obaw. Jak to teraz będzie, czy dadzą radę?

Dzieci były otwarte i radosne, choć najstarsza Oliwka sprawiała wrażenie lekko upośledzonej: nie mówiła ani słowa, z ciągle otwartej buzi ciekła jej ślina. – Karmiłam Oliwkę małymi kęskami, a ona jakby się bała, że za chwilę obiad zniknie, łapczywie chwytała rączkami ziemniaki i wpychała je do buzi. Płaczem reagowała na widok pustego talerza. Krzykiem i łzami dawała znać, że chce jeszcze, że nadal jest głodna, choć wcale nie była. Jadła na zapas – wspomina Marta.

W Wigilię Paweł zniósł ze strychu wysoką, sztuczną choinkę i pudła z bombkami, ustawił je w salonie i zawołał dzieci do ubierania. Patryś aż piszczał z radości. – Ile on tych bombek wtedy wytłukł – śmieje się Marta. W domu pachniało smakowitościami, które szykowała na uroczystą kolację. Oliwka nie mogła się doczekać, aż wszystkiego spróbuje i cały czas zaglądała do kuchni. Wzruszeni, wsłuchiwali się w głośne zachwyty dzieci nad pięknieiącym świątecznym drzewkiem. Tyle hałaśliwego szczęścia wypełniło ich dom, że ledwie usłyszeli dzwonek do drzwi. W progu stała brudna, zaniedbana kobieta. Cuchnęła. Była biologiczną mamą Patryka i Moniki.

– Rodziny zastępcze mają obowiązek współpracować z rodzicami biologicznymi. Kontakty odbywają się na określonych zasadach, najczęściej ustalanych wspólnie pomiędzy rodziną zastępczą a rodzicem. W wielu przypadkach współpraca kończy się szczęśliwie, a rodzice naturalni dokonują zmiany swego życia i ustępują przyczyny, dla których decyzją sądów dzieci powierzono pieczy zastępczej – wyjaśnia Beata Wieczorek, pedagog w Świętokrzyskim Ośrodku Adopcyjnym.

Kobieta weszła do salonu i zapadła się w fotel. Dla dzieci była niewidzialna. Nie odezwała się ani słowem, z obojętnością obserwowała, jak łaszą się do Pawła. W zaledwie jeden dzień stał się dla nich ważniejszy niż ona, matka, która je urodziła. Z tępej, nieruchomej twarzy Paweł i Marta niczego nie potrafili wyczytać, ani prawdziwych intencji, ani powodów dla których zdecydowała się tu przyjść. Marta kończyła smażyć ryby, przez głowę przeszła jej myśl, że powinna poprosić, aby kobieta została na kolacji. – Zrobiło mi się bardzo żal tej mamy. Wyobraziłam sobie co czuje. Odwiedza własne dzieci u obcych ludzi w święta Bożego Narodzenia. Koszmar.

Ale kobieta miała zupełnie inne plany. Wygramoliła się z fotela i równie nieoczekiwanie jak się pojawiła, zniknęła z ich życia.

Pierwsze pożegnania

Tuż po świętach Marta ruszyła do lekarzy specjalistów, aby zdiagnozować Oliwkę. W trzy dni poumawiała wizyty w kilku gabinetach. Próbowała też szukać potrzebnych informacji u biologicznej rodziny. Od babci Oliwki usłyszała, że dziewczynka jest po prostu głupia, a oni muszą zajmować się wystarczająco dużą liczbą głupich dzieci i dlatego oddali małą do domu dziecka.

Po wizycie u laryngologa Marta odetchnęła z ulgą. Przyczyna wad dziewczynki była prozaiczna. Miała niedosłuch, wywołany powtarzającymi się, nieleczonymi stanami zapalnymi ucha, dokuczał jej przerośnięty migdałek. Intensywne leczenie poprawiło jej słuch i mowę. – Wcześniej nie mówiła, bo nie słyszała. Jak można było to zaniedbać – denerwuje się Marta. Po tym jak Oliwka rozkwitła w jej domu, szybko znalazła rodziców adopcyjnych.

Monika i Patryk także nie czekali na nich długo. Oddanie rodzicom adopcyjnym rodzeństwa okazało się traumą dla dzieci Marty. Bardzo przywiązali się do Patrysia. Pulchniutki, radosny blondynek wdarł się w ich serca tak głęboko, że po jego odejściu musieli korzystać z pomocy pedagoga. Wszystkim było bardzo ciężko, ale rodzina zastępcza musiała funkcjonować dalej, w domu pojawiły się kolejne dzieci.

Dziecko musi mieć rodziców

Przychodziły do nich dzieci, które doświadczyły wielu traum i cierpienia. Nie opowiadały o nich, zdradzał je paniczny strach przed zamkniętymi pomieszczeniami i samotnością, podkradanie jedzenia, niechęć do kontaktów z rodzicami biologicznymi. – W wielu przypadkach dzieci mają zakaz mówienia o tym, co działo się w domu. Kary fizyczne i psychiczne, których doświadczały za jego złamanie, bardzo bolały. Przez lata życia z nami nie chciały o tym mówić. Nadal się bały – mówi Marta.

Ośmioletni Mateusz i dziewięcioletni Kamil przyszli do nich razem z trzema małymi siostrami. Biologiczna matka nauczyła ich kraść. Zaczynali na bazarach, jeden trzymał otwartą torbę, drugi ściągał do niej z blatów co popadło. – Chce się chlebka z masełkiem, to trzeba sobie załatwić – szydziła z kilkuletnich dzieci.

Normalność, której doświadczyli u Marty i Pawła zupełnie ich oszołomiła. Silny, wymagający „wujek", opiekuńcza „ciocia", posiłki kilka razy dziennie, nowe ubrania, zabawki, wspólne wycieczki, rozmowy – przekonali się jak wygląda normalna rodzina. Praca z chłopcami dała efekty. Polubili szkołę, zaczęli się uczyć, marzyć o przyszłości. W gimnazjum byli już zadbanymi, otoczonymi przyjaciółmi młodzieńcami. I wtedy biologiczna matka przypomniała sobie o nich. Pijana, razem z towarzyszami alkoholowych ciągów, nachodziła chłopców w szkole. Wstydzili się. Zimą Kamil uciekł z lekcji w trampkach do domu. Marta i Paweł stawali na głowie, żeby ich przed nią ochronić.

Po skończeniu szkoły chłopcy podjęli ważną decyzję. Powiedzieli, że dla piątki dzieciaków trudno będzie znaleźć rodzinę adopcyjną. Chcą zwiększyć szansę na przysposobienie dla swoich sióstr, dlatego proszą, aby mogła się ona odbyć bez nich. Dziewczynki szybko znalazły rodziców.

– Każde dziecko, które do nas przychodzi powinno zostać adoptowane, zyskuje wtedy swoje miejsce na ziemi do końca życia, ma swój dom rodzinny – mówi zdecydowanie Marta. – Kamil miał dziewiętnaście lat, gdy musiał odejść. Zawieźliśmy go z mężem do mieszkania chronionego, a tam... Ciemno, obco, w jednym kącie wersalka, w drugim stolik i to całe umeblowanie. Jeszcze trochę rzeczy od nas. A my musieliśmy go tam zostawić. Samego – odwraca głowę, aby ukryć łzy.

– Dzieci mogą przebywać w rodzinie zastępczej do chwili, kiedy się uczą. Niektóre gminy zapewniają im tak zwane mieszkania chronione, których jednak nie otrzymują na całe życie. Są w nich przez pewien czas – wyjaśnia Beata Wieczorek. Wiele dzieci pozbawionych jest takiej możliwości, od rodzin zastępczych wracają do rodziców biologicznych.

– Ufamy, że te wartości, wzorce, jakie dzieci zaczerpnęły, będąc w rodzinach zastępczych, zaprocentują w życiu dorosłym. Większość pozostaje w relacji z rodzinami zastępczymi. Odwiedzają ich, zapraszają na wesela i chrzciny. Pobyt u nich je ukształtował, to nie jest stracony czas – przekonuje Anna Sokołowska-Smołkowska. Mateusz i Kamil nie wrócili do biologicznej matki. Radzą sobie, mają pracę. Utrzymują kontakt z siostrami. Kamil często dzwoni do Marty i Pawła, traktuje ich jak najbliższą rodzinę.

Przy Emilce nie było nikogo

– Pani Martyna urodzi na dniach. Dziecko jest chore. Matka go nie chce. Dacie radę przyjąć do siebie? – usłyszała w telefonie. Wahali się, obawiali, że nie podołają. W domu były małe dzieci, które wymagały ciągłej uwagi, a tu jeszcze ciężko chore niemowlę.

Emilka urodziła się z rozszczepem kręgosłupa, lekarze znaleźli jeszcze inne schorzenia. Z sali porodowej przewieziono ją na salę operacyjną.

– Pojadę do szpitala i tylko ją zobaczę – zadecydowała Marta.

– Wiesz jak to się skończy? – uśmiechnął się Paweł.

Zaprzeczyła.

– To kto mnie zawozi, bo ja jadę!

Pojechali wszyscy. Sala pooperacyjna była pełna małych pacjentów. Przy każdym boksie siedzieli zatroskani rodzice. Tylko przy Emilce nikogo nie było. Marta podeszła do łóżeczka

i już nie potrafiła od niego odejść. Po nakarmieniu malutkiej przypomniała sobie, że przecież czekają na nią Paweł i dzieci. Wybiegła na korytarz: – Chcecie ją zobaczyć?

Dziecko, które przyjęli do rodziny było cudem, które każdego dnia napędzało ich nadludzką energią. Chore, wymagające nieustannej opieki, stało się oczkiem w głowie całej rodziny. Marta cewnikowała dziewczynkę co cztery godziny, ale każdy garnął się, aby Emilkę pielęgnować, karmić, całować, wychodzić z nią na spacer. Nawet babcia Jasia zaczęła częściej przyjeżdżać. Emilka była centrum ich życia, w każdym rodzinnym planie odgrywała główną rolę. Rosła, śliczna i mądra. Odwdzięczała się miłością.

Marta: – Kiedy najstarszy syn, Piotrek, ożenił się i wyprowadził, to każdy jego telefon zaczynał się w ten sam sposób: „cześć, co u Emilki?". Paweł absolutnie oszalał na jej punkcie. Dla przyjmowanych dzieci byli „ciocią" i „wujkiem", dla Emilki „mamą", „tatą". Znała przecież tylko ich, od urodzenia.

Gdy skończyła cztery lata, ośrodek adopcyjny znalazł jej nową rodzinę. Paweł, w obawie, że nie zapanuje nad emocjami, nie chciał być przy wyprowadzce Emilki, wyjechał z domu. Marcie towarzyszył Marek, drugi z synów. – Mamusiu, chcę zostać – prosiła dziewczynka. Wczepiła się rączkami w kurtkę Marka, który niósł ją do samochodu rodziców adopcyjnych. On nie potrafił i nie chciał jej od siebie oderwać. Marta musiała być stanowcza, nie mogła pozwolić sobie na łzy. Przygotowywała dziecko i siebie do tej chwili od wielu miesięcy. Wiedziała, że okazanie słabości przysporzy dodatkowego cierpienia Emilce. „Będzie szczęśliwa, będą ją kochać, będzie ich całym światem" – powtarzała w myślach, żeby nie rozsypać się na kawałki. Po wyjeździe Emilki Marek zamknął się w piwnicy. Dwudziestoletni mężczyzna chciał przeżyć swój w żal w samotności. Wyszedł z niej dopiero po dwóch godzinach. Musiał zawieźć Martę do szpitala, miała silne bóle brzucha.

Czy potrafią pokochać jak ja?

Na komodzie w salonie stoi oprawiona fotografia nowej rodziny Emilki. Uśmiechnięci młodzi ludzie tulą trójkę dzieci: dwóch chłopców i dziewczynkę. Dwoje z nich jest adoptowanych.

– Mam ogromny szacunek dla rodziców adopcyjnych. To wspaniali ludzie – mówi Marta. – Ale za każdym razem, kiedy oddaję dziecko, zastanawiam się, czy pokochają je tak mocno jak my, czy zaakceptują je takim jakie jest. Pęka mi serce, ale wiem, że tak trzeba. Adopcja jest dla

nich szansą, a my wszystkich dzieci nie zdołamy adoptować, muszę się z tym pogodzić, moi bliscy też. Czasem jednak to wszystko nas przerasta.

– Mama jest wyjątkowa – mówi Weronika, dziś dziewiętnastoletnia córka Marty. – Ale w ogóle nie ma dla mnie czasu – dodaje przekornie. Jest piękną dziewczyną z wielkimi planami na przyszłość. Zrobiła prawo jazdy na busa i może teraz wozić maluchy do lekarza, na zakupy i wycieczki. Ukończyła też szkolenie dające jej uprawnienia do profesjonalnej opieki nad dziećmi. Czasem mama znajdzie czas, aby wspólnie pobiegać i pogadać. Córce to wystarcza. Weronika i Marek nie mają żalu do rodziców, że od małego muszą się nimi dzielić. Uważają, że powinni się angażować tak samo jak oni. Weronika właśnie włączyła pranie, a teraz kroi sernik dla dzieci. – Dużo pomagam w domu, ale to nie ma wpływu na moje plany, życie towarzyskie, kontakty z przyjaciółmi. Wszystko można pogodzić – mówi. Gdy pytam o Emilkę, odwraca głowę i wychodzi bez słowa.

– Zdarza się, że rozstania są trudne dla rodzin zastępczych, ale nie mogą być celebrowane, przeciągać się w czasie – mówi Anna Sokołowska-Smołkowska. – Uczulamy rodziców adopcyjnych, aby przez jakiś czas dzwonili do rodzin zastępczych i przekazywali informację o dziecku. To podnosi ich na duchu, sprawia, że łagodniej przechodzą okres żałoby. Niektóre rodziny adopcyjne dość szybko zrywają kontakt. Inne często telefonują do rodziców zastępczych. Chcą uzyskać jak najwięcej wiedzy o dziecku, co pomaga im łagodniej przetrwać czas adaptacji. Pytają o ulubione potrawy dzieci, przepisy na nie oraz leki, które przyjmowały. To kwestia bardzo indywidualna, ale generalnie nie zalecamy, aby ten kontakt był bezpośredni. Dziecko, przebywając w rodzinie zastępczej, widzi, że jej członkowie się zmieniają. To zakłóca poczucie stabilności. Zaczyna mieć wątpliwości, skoro tam jedziemy, to może oni chcą mnie zostawić i weźmie mnie ktoś inny. Rodzice adopcyjni mogą mieć wówczas problem z budowaniem u dziecka poczucia przynależności, które jest bardzo ważne – mówi dyrektor Sokołowska-Smołkowska. Beata Wieczorek wspomina o jeszcze innym aspekcie: – W rodzinie zastępczej dziecko spotykało rodziców biologicznych. W wielu przypadkach takie spotkania były traumatycznym przeżyciem. Dziecko nie wie, czy podczas wizyty u cioci i wujka nie dojdzie do takiego kontaktu. Oczywiście do każdej sytuacji należy podchodzić indywidualnie.

Najważniejsze jest dobro dziecka a rodziny adopcyjne i zastępcze potrafią te kwestie właściwie wyważyć.

Miłość zmieni wszystko

Połowę ogromnego podwórka przed domem Marty i Pawła zajmuje profesjonalny plac zabaw z trampoliną, zjeżdżalnią i huśtawką. Z wielkich donic wylewają się surfinie, z tyłu domu zielenią się grządki z warzywami. Jest też niewielki kurnik, bo jaja muszą być swoje. Jajecznica Marty jest jej znakiem rozpoznawczym, dała już na nią przepis niejednemu rodzicowi adopcyjnemu. Jest jeszcze zbyt gorąco, aby wychodzić z dziećmi na dwór. Bawią się w swoim pokoju.

Gabrysia (dwa lata) i Hania (trzy lata) zapraszają na przyjęcie. Plastikowe talerzyki i filiżanki poustawiały na małym stoliczku. Dziewczynki częstują mnie herbatką. Gabi dopiero niedawno nauczyła się pierwszych słów. – Aaaam – zachęca do spróbowania wyimaginowanej potrawy i wpycha mi plastikową łyżeczkę do ust. – Mniam, to jest pyszne! – klepię się po brzuchu. Gabi głośno się śmieje. Na podłodze raczkuje jej roczna siostrzyczka Misia. Matka dziewczynek ma zaledwie 24 lata, sama wychowywała się w domu dziecka. Nie poradziła sobie z opieką nad córeczkami. Marta gładzi Gabrysię po główce. – Już jej odrosły włoski, a jeszcze niedawno była łysa, całe kępki sobie powyrywała, teraz już tego nie robi.

– Ciocia ja śpię tutaj, tam Gabrysia, a w małym łóżeczku Misia – informuje Hania. Jest tu od niedawna. Domownicy muszą znosić natarczywość jej matki, która w pijackim amoku dobija się do furtki, a jej wulgarni partnerzy wygrażają bliskim. Czasem dzwoni do córki i wypytuje o wszystko. – Byłam dziś bardzo grzeczna i babcia Jasia dała mi w nagrodę cukierka – pochwaliła się kiedyś dziewczynka. Jej matka zrobiła Marcie awanturę, że „pasie jej dziecko słodyczami". Nie wytrzymała. – Tak, Hania dostała cukierka, zjadła też śniadanie, drugie śniadanie i dwudaniowy obiad, a na podwieczorek mam zamiar upiec pyszne ciasto – odpowiedziała. Dziewczynka głodowała u biologicznej matki.

Marta otwiera album ze zdjęciami, są tu wszystkie dzieci, którym od kilkunastu lat dawali serce i dom. Każda fotografia podpisana imieniem, opatrzona notką o dacie pobytu. O każdym z dzieci Marta może opowiadać bez końca. O Wojtusiu, któremu na urodziny upiekła tort

tak wielki, że nie zmieścił się w lodówce i postawiła go na balkonie. Maluch prowadził wszystkich domowników do okna i powtarzał oczarowany: „oć ziobać, moje ciacho". O dwuletnim Kubusiu, którego na powitanie poczęstowała chlebem z masełkiem pokrojonym w kostkę, a on, mimo głodu, zanim zjadł pierwszy kawałek, nakarmił dwie młodsze dziewczynki. – A Tymuś! Jak wracał ze szkoły, to tak do mnie biegł, że o mało się nie przewrócił – wspomina z czułością babcia Jasia, która akurat weszła do salonu z Misią na rękach. – Zawsze zauważył, jak byłam u fryzjera, chwalił, „babuniu, włosy zmieniłaś". Babcia Jasia przyjeżdża z sąsiedniej wsi, aby pomóc Marcie, gdy Paweł jest w pracy.

Marta: – Każde dziecko jest inne, ale wszystkie pragną miłości i troski. Trzeba ofiarować im swój czas, młodszym bajkę przed snem przeczytać, starszym powiedzieć coś fajnego. Nie rozumiem, co to znaczy „zimny chów". To właśnie miłość zmienia odrzucone dziecko w cudownego, pięknego człowieka.

Jest późne czerwcowe przedpołudnie. Gabi zaniepokojona długą nieobecnością Marty wbiega do salonu. Na jej okrągłej buźce zostały ślady po kaszce ryżowej, którą podjadła Misi. – Co tam kruszynko, śpiąca jesteś? Zaraz się położymy – mówi Marta. Gabi uśmiecha się do niej.

Dorosłość

reportaże

Niczego nie planuję

Monika Rosmanowska

Życie go nie rozpieszczało. Los co chwilę rzucał mu kłody pod nogi i piętrzył wyzwania. Dziś jest zadowolony z tego, co ma i nie zamyka się na nowe pomysły. Tym razem los będzie po jego stronie.

Dwudziestosześcioletni Marcin mieszka dziś w Krakowie. Do większego miasta wyjechał z Kielc, jak tylko skończył osiemnaście lat. Jest technikiem organizacji usług gastronomicznych, ale nie pracuje w zawodzie. Jest zastępcą kierownika w sklepie obuwniczym. W handlu czuje się jak ryba w wodzie. – Nie jest to oczywiście praca moich marzeń i na pewno będę chciał nadal się rozwijać. Nie wyobrażam sobie, by stać w miejscu i przez całe życie pracować w jednej firmie – mówi.

W Krakowie spróbował się zakorzenić. Tu kupił mieszkanie. Od czterech lat ma partnera. Wszystko jest jednak w stanie rzucić nawet z dnia na dzień. – Niczego nie planuję, co ma być to będzie. Jeśli pojawi się możliwość wyjazdu do pracy za granicą, nawet nie będę się zastanawiał. Skorzystam z okazji. W życiu kieruję się zasadą, że tak trzeba żyć i tak postępować, by niczego nie żałować – przyznaje.

Śmierć i odrzucenie

Życie nigdy go nie rozpieszczało. Nie wszystko chce pamiętać, w rozmowach z przyjaciółmi nie wraca do tego, co było. Bo i do czego tu wracać? Pierwszy obraz to samobójstwo mamy. Miał wtedy trzy lata i wciąż widzi, jak znika w drugim pokoju i już z niego nie wychodzi. Do dziś zastanawia się, czy mógł wtedy coś zrobić, zachować się inaczej. Może wtedy mama wciąż by żyła...

Po jej śmierci Marcin wraz z dwoma braćmi trafił do dziadków ze strony ojca, dwie nastoletnie już wtedy siostry wzięli rodzice ze strony mamy. – Pamiętam, że odwiedziła nas wtedy

pani z pomocy społecznej i zaoferowała wsparcie. Dała dziadkom możliwość: jeśli będzie im zbyt ciężko, to jest dla nas miejsce w domu małego dziecka. Już następnego dnia skorzystali z tego rozwiązania. I tak cała nasza trójka znalazła się w domu dziecka – wspomina. Po latach dziadkowie próbowali się tłumaczyć. Wiekiem, chorobami, opieką nad swoimi dziećmi. Prosili o zrozumienie. Nie dostali go. Dziś Marcin nie ma z nimi żadnego kontaktu. Nawet nie wie, czy jeszcze żyją.

Gdy byli w domu małego dziecka, ich ojciec zrzekł się praw rodzicielskich do najmłodszego syna, Damiana. Starszych, Marcina i Marka, chciał zabrać do siebie. Musiał tylko ułożyć sobie życie. W końcu się poddał. – Ale dla nas było już za późno. Damian został adoptowany – opowiada.

Co się stało z najmłodszym chłopcem? Tego Marcin nie wie. W ubiegłym roku próbował go odnaleźć. Bezskutecznie. Co do zasady dom dziecka czy ośrodek adopcyjny nie udostępniają danych, jeśli poszukiwanie kontaktu jest jednostronne. A tak jest w tym przypadku. Damian nigdy nie zgłosił się po informacje o rodzeństwie. Nawet nie wiadomo, czy wie o tym, że jest adoptowany. – Zostawiłem do siebie numer telefonu. Jeśli zechce mnie odnaleźć, nie będzie miał z tym większego problemu – mówi.

Namiastka rodziny

Gdy Marcin miał sześć lat, razem z bratem trafił do rodziny zastępczej. Przez pierwsze dwa lata wszystko układało się jak najlepiej. Rodzicom zastępczym udało się stworzyć chłopcom namiastkę rodziny. Los jednak znów z nich zadrwił. Związek przybranych rodziców rozpadł się. Doszło do podziału majątku i ustalenia opieki nad chłopcami. Początkowo byli z przybraną mamą, później z przybranym tatą. – Ale i nasze drogi ostatecznie się rozeszły. Gdy byłem nastolatkiem, nie mogliśmy się porozumieć. Nie byłem grzecznym chłopcem, stwarzałem problemy, z którymi on sobie kompletnie nie radził. Nie potrafił też zaakceptować mojej orientacji seksualnej – tłumaczy Marcin. Wtedy skontaktował się z przybraną matką, a ona go przyjęła. Miał piętnaście lat. – To były dobre lata. Nie czułem mocniejszej więzi, nigdy nie usłyszałem też od niej, że mnie kocha. Dawała

mi jednak poczucie bezpieczeństwa, dbała o mnie, interesowała się mną i moimi sprawami. Nie chciała mnie zmieniać na siłę – mówi. Dziś mają sporadyczny kontakt. – Jestem Agnieszce bardzo wdzięczy za te lata. Pomogła mi, wyciągnęła rękę w trudnym dla mnie okresie. Mam za to do niej ogromny szacunek.

Nowy początek

Od zastępczej matki Marcin wyprowadził się tuż przed osiemnastymi urodzinami. Miał trochę zaoszczędzonych pieniędzy. Już jako nastolatek pracował i odkładał to, co zarobił. Również Agnieszka uzbierała dla niego niemałą sumę. Z tym, co miał, pojechał do Krakowa. – Znów byłem sam, bez nikogo bliskiego, bez żadnej kontroli. Będąc w takim wieku, można sobie narobić kłopotów. Agnieszka obawiała się, że wpadnę w złe towarzystwo, była przeciwna mojemu wyjazdowi. Zresztą problemy to była moja specjalność. Mimo to udowodniłem sobie i innym, że potrafię ułożyć sobie życie. Dałem radę – nie kryje dumy.

Marcin chodzi na terapię. Próbuje sam siebie poznać i zrozumieć. – Wiem, że mam problem z zaufaniem drugiej osobie. Ludzie w przeszłości się mną bawili, dziś czuję się przez nich oszukany i nieświadomie robię to samo. Nie zawsze jestem fair w stosunku do innych – przyznaje. Nie miał w życiu dobrego przykładu. Nikogo, kto by mu powiedział, jak żyć, jak postępować. – Sam musiałem się tego nauczyć. Mam problem z nawiązaniem relacji. Mam kogoś, ale często łapię się na tym, że równie dobrze mogłoby tej osoby nie być. Przez całe życie tak naprawdę byłem sam, sam musiałem sobie radzić. Hartowałem się i wolę zrobić coś samodzielnie niż z czyjąś pomocą. Nawet Marka, z którym mam bardzo dobry kontakt, nie proszę o wsparcie – mówi.

Wciąż też próbuje się uporać z tym, co czuje do dziadków, z interpretacją ich zachowania. – Tak łatwo z nas zrezygnowali. Także później, gdy za namową Agnieszki odnowiliśmy kontakt, nie czułem, że odzyskałem rodzinę. Nie byliśmy z bratem zapraszani na święta ani rodzinne uroczystości. Bunt i żal narastał. W pewnym momencie uznałem, że dalsze utrzymywanie kontaktu nie ma sensu – tłumaczy.

Partner i przyjaciele znają jego sytuację, ale nie rozmawiają o tym. – Nie wracamy do mojej przeszłości. Życie toczy się dalej. Wstyd mi trochę... Ludzie chwalą się swoimi rodzinami, spotykają się z nimi w święta. Ja tego nie mam – przyznaje.

Przyszłość? – Lubię swoje życie i na pewno niczego bym w nim dziś nie zmienił – zapewnia. A planowany wyjazd za granicę? – To mógłby być nowy początek – marzy.

Mam coś ważnego do zrobienia

Monika Rosmanowska

Od blisko dziesięciu lat Krzysztof szuka jakiejkolwiek informacji o swojej biologicznej rodzinie. Bezskutecznie! Kim jest jego matka? Czym się zajmuje? I najważniejsze – czy ma rodzeństwo? Te pytania wciąż pozostają bez odpowiedzi i nie dają spokoju.

Na rozmowę z dwudziestosiedmioletnim Krzysztofem długo nie możemy się umówić. Jak wielu młodych jest w ciągłym biegu. Wreszcie udaje nam się wcisnąć kilkadziesiąt minut między jego zajęcia i pracę. Rozmowa nie jest łatwa. Na początku oboje jesteśmy stremowani i trochę skrępowani. W końcu dwoje zupełnie obcych sobie ludzi próbuje rozmawiać na bardzo intymny temat. Gdy po kilku minutach przełamujemy lody, Krzysztof otwarcie mówi o wszystkim, także o tym, co wciąż w nim tkwi i mocno uwiera.

Kim jest Krzysztof? Studentem informatyki na jednej z prywatnych uczelni w Krakowie. Praca z komputerem, programowanie, systemy informatyczne... To jego pasja. Jest na trzecim roku. Jeszcze sześć miesięcy nauki i przyjdzie mu się mierzyć z obroną pracy dyplomowej. Na czesne zarabia, jeżdżąc taksówką, za chwilę rozpoczyna też straż na stanowisku informatyka w jednej z krakowskich firm.

Plany na przyszłość? Zakup własnego mieszkania, co być może uda się sfinalizować w przyszłym roku, i praca. Krzysztof nie myśli o kontynuacji studiów, chce swoją dotychczasową wiedzę sprawdzić w praktyce. – W przypadku informatyka ten model sprawdza się najlepiej. Definitywnie nie mówię oczywiście „nie". Jeśli taka będzie potrzeba rynku, to wrócę na uczelnię – zapowiada.

Przeszłość? Dom dziecka i nowe życie z adopcyjnymi rodzicami...

Drugie imię, drugie życie

Do położonego pięćdziesiąt kilometrów od Kielc domu mały Krzyś trafił, gdy miał trzy latka. Mógł wcześniej, ale procedury mocno się przedłużały i zakończyły dopiero po roku. To był początek lat dziewięćdziesiątych. Zupełnie inna rzeczywistość. Z życia przed adopcją nie pamięta nic. – To dość dziwne, bo późniejsze wydarzenia, nawet te, które miały miejsce, gdy miałem zaledwie trzy lata, mam w głowie. Rodzice często się dziwią, gdy im o czymś opowiadam, mówią, że nie mam prawa tego pamiętać. A jednak. Może więc jest tak, że to, co miało miejsce później, wyparło z mojej głowy wcześniejsze zdarzenia? – zastanawia się.

Do rodziny adopcyjnej Krzysztof trafił z domu dziecka. Niewiele ze sobą miał, kilka osobistych rzeczy, ubranka. Pierwsze lata to niczym niezmącone dzieciństwo, poznawanie i nawiązywanie coraz mocniejszych więzi z nowymi rodzicami i dziadkami. O tym, że jest adoptowany, dowiedział się na początku szkoły podstawowej, niedługo przed pójściem do pierwszej komunii. – Pamiętam, jak rodzice poprosili mnie o poważną rozmowę. Powiedzieli, że chcą mi przekazać coś bardzo ważnego. Usiedliśmy w dużym pokoju, było uroczyście. Gdy usłyszałem o adopcji, w pierwszej chwili nie uwierzyłem. Byłem zmieszany i do końca nie dopuszczałem do siebie tej myśli, co z perspektywy czasu wydaje się być naturalną reakcją dziecka – tłumaczy.

Dopiero, gdy zobaczył dokumenty związane z adopcją, a w nich swoje – jak mówi – rodowe imię i nazwisko, dotarło do niego to wszystko, co mówili rodzice. Imię, które Krzysztof dostał zaraz po urodzeniu, adopcyjni rodzice zostawili mu jako drugie.

Ktoś mnie szuka...

W pierwszej chwili ani dokumenty, ani sama adopcja niespecjalnie go zainteresowały. Najbliżsi koledzy i przyjaciele – i tak zostało do dziś – wiedzieli, ale nigdy nie podejmowali tego tematu, traktując rzecz jako oczywistą. Niczego to też nie zmieniło w ich relacjach. Krzysiek wciąż był świetnym kumplem i doskonałym kompanem do gry w piłkę i łobuzowania.

Wraz z upływem lat rosła w nim jednak ciekawość. Temat ciągle powracał w rozmowach z rodzicami. Pojawiały się strzępy informacji na temat biologicznej rodziny. Bardziej pogłoski, niż rzetelne dane. I wciąż nikt nie potrafił jednoznacznie odpowiedzieć na coraz bardziej

nurtujące Krzysztofa pytanie: czy ma rodzeństwo? – Rodzice cały czas powtarzali, że jest takie prawdopodobieństwo, ale w żaden sposób nie są w stanie tego potwierdzić – opowiada. To tylko wzmagało jego zainteresowanie. – Wiem, że może to brzmieć dziwnie, ale czasem wydaje mi się, że ktoś mnie szuka i ja też powinienem – mówi.

Na poważnie tematem zajął się, gdy skończył osiemnaście lat. – Dziś myślę, że nie chciałem nikogo angażować. Uznałem, że to wyłącznie moja sprawa. Będąc pełnoletnim, zyskałem swobodny dostęp do informacji na swój temat, nikogo nie musiałem prosić o pośrednictwo – przyznaje.

Mam jeszcze coś do zrobienia

To wtedy zaczął zbierać informacje i... po raz pierwszy odbił się od urzędniczej ściany. Później także w żaden sposób nie był w stanie sforsować muru, który wyrósł przez te wszystkie lata. – Na liczne pytania wciąż dostawałem z sądu tę samą odpowiedź. Na dziś nie ma dostępu do danych, których potrzebuję. Nikt nie potrafi mi wyjaśnić, co się stało z moją biologiczną matką, ani odpowiedzieć na pytanie, czy mam rodzeństwo – nie kryje rozczarowania.

Lata dziewięćdziesiąte to był szalony czas. W ogólnym chaosie, który miał wtedy miejsce, część dokumentów związanych z adopcją Krzysztofa zaginęła. – To były czasy, gdy różne instytucje przeobrażały się, łączyły, a dokumenty krążyły. Może gdybym wcześniej zainteresował się sprawą, udałoby mi się więcej wyjaśnić? Nie poddam się jednak, będę próbował. Wiem, że mam w życiu coś ważnego do zrobienia – zapowiada.

Obawa przed spotkaniem

– Krzysztof chce poznać prawdę, ale też obawia się swojej reakcji. Nie chciałby sytuacji, w której siada naprzeciwko biologicznej matki i słyszy od niej to, co wypada w takiej sytuacji powiedzieć. Nie chciałby, aby chęć spełnienia jego oczekiwań zastąpiła szczerą i otwartą rozmowę. A ta jest potrzebna.

Biologiczna matka urodziła Krzysztofa w liceum. Mieszkała wówczas razem z młodszą siostrą u babci. O ojcu Krzysztof nie wie nic. – Zdaję sobie sprawę, że w tamtych czasach samotna cię-

żarna licealistka nie miała lekko. Analizując sytuację, przynajmniej teoretycznie, jestem w stanie obiektywnie przyznać, że mogła nie mieć warunków do tego, by wychowywać dziecko. Po części jestem nawet w stanie zrozumieć, że chciała dla swojego syna lepszej przyszłości, a może nawet uznać, że to było jedyne słuszne rozwiązanie. Czy jednak aby na pewno zrobiła wszystko, co mogła? Myślę, że nie. Nie walczyła o mnie wystarczająco mocno – przekonuje. – Oddając mnie do adopcji, uciekła od obowiązków, konsekwencji swoich czynów. To mało odpowiedzialne. Czy mam żal? Ciężko byłoby nie mieć, nawet jeśli sytuacja nie jest czarno-biała – przyznaje.

To dlatego Krzysztof nie potrafi dziś przewidzieć, jak zachowałby się, gdyby do spotkania doszło. Wielokrotnie wyobrażał sobie, jak mogłaby ta rozmowa wyglądać i co mógłby powiedzieć lub zrobić. I wciąż tego nie wie. Mimo upływu lat emocje nadal odgrywają pierwszoplanową rolę.

Męskie wypady w góry

W próbie znalezienia odpowiedzi na pytania o przeszłość wspierają Krzysztofa adopcyjni rodzice. Ponieważ system na tę chwilę zawiódł, myślą o wynajęciu prywatnego detektywa. Chłopak ma z nimi dobry kontakt. Od kilku lat przynajmniej raz w roku jeżdżą z ojcem w Tatry. Te męskie wypady stały się już rodzinną tradycją. – Nasze relacje oczywiście znacznie się polepszyły, gdy wyjechałem do Krakowa i zacząłem żyć na własny rachunek, choć i tu znalazłem się dzięki pomocy rodziców. Nie zawsze jednak między nami było dobrze. Mam dość krnąbrny charakter i, jak inni nastolatkowie, przechodziłem okres buntu. Pamiętam, że jeszcze pod koniec szkoły podstawowej powiedziałem coś tak przykrego, że wciąż mam w głowie ich reakcję. Dziś mamy dobry kontakt. Zresztą rodzicem nie jest ten, kto nas urodził, ale ten, kto wziął na siebie ciężar wychowania. Takie przynajmniej jest moje zdanie – przyznaje.

Wokół siebie Krzysztof ma też przyjaciół, którzy – podobnie jak rodzice – wspierają go w poszukiwaniach biologicznej rodziny. – To, że zostałem adoptowany, nie ma żadnego wpływu na nasze relacje czy moje zachowanie. Już bardziej ten rogaty charakter – śmieje się.

Adopcyjnym rodzicom jest przede wszystkim wdzięczny. – Za miłość i opiekę. Za wszelką pomoc i za to, że zawsze i niezależnie od okoliczności mogę na nich liczyć – zapewnia.

Historia zasłyszana

Historia zasłyszana

Anna Sokołowska-Smołkowska

Mieli wszystko... no... prawie wszystko. Tak zwane dobre zawody. Lubili swoją pracę. Wyremontowali piękny stary dom po dziadkach na obrzeżach miasta. A przede wszystkim mieli siebie. Jednak ...

Kiedy dowiedzieli się, że nie mogą mieć dzieci, postanowili zaadoptować. Najlepiej dziewczynkę. Nie chcieli zrobić tego w swoim mieście. Byli zbyt rozpoznawalni. Bali się, że wszyscy będą wiedzieć o adopcji. Zdecydowali, że wyjadą do innej miejscowości. Tam przeprowadzą całą procedurę i wrócą z córką... jakby nigdy nic.

Wyjechali. Helena wzięła długi bezpłatny urlop. Tadeusz jako architekt mógł projektować niezależnie, nie tylko na miejscu, w pracowni.

Udało się. Sprawy szybko się potoczyły. Zostali rodzicami miesięcznej dziewczynki. Dziecko urodziła bardzo młoda kobieta. Zaraz po porodzie zrzekła się praw do niego. Byli bardzo szczęśliwi. Iwonkę przedstawili rodzinie i znajomym jako swą biologiczną córkę. Urządzili dziewczynce pokój. Zasypywali zabawkami. Zatrudnili profesjonalną nianię. Potem wybrali dobre przedszkole. Mała rozwijała się świetnie.

Dumni byli, gdy otrzymywała kolejne promocje w szkole. Były świadectwa z czerwonym paskiem, nagrody. Okazało się, że Iwona jest uzdolniona plastycznie. Pięknie rysowała. Wszyscy mówili, że odziedziczyła talent po ojcu. Zaczęła wspominać, że chciałaby studiować architekturę. Tadeusz „pękał" z dumy. Helena wolałaby, żeby Iwona skończyła stomatologię jak ona, ale także była zadowolona z wyboru córki.

Na bal studniówkowy zawieźli Iwonkę oboje. Wyglądała zjawiskowo. Długa czarna suknia podkreślała jej zgrabną sylwetkę, a upięcie długich włosów uwydatniało regularne rysy twarzy. Tak bardzo cała trójka była szczęśliwa. Zaczęły się gorączkowe przygotowania do matury.

Dziewczyna zaczęła kompletować dokumenty potrzebne do złożenia na uczelnię. Przypadkiem wzięła w rękę teczkę ze starymi papierami.

Oniemiała – to akt urodzenia mój czy nie mój? – przyglądała się. To niemożliwe, ja nie jestem dzieckiem moich rodziców!

Zamknęła się w pokoju, płakała, nie odpowiadała na wołanie ani Heleny, ani Tadeusza. Mechanicznie wrzucała do torby jakieś rzeczy. Myślała gorączkowo: szczoteczka do zębów, pieniądze ze skarbonki, sweter, bielizna, dowód osobisty (niedawno go otrzymała)... Co jeszcze? Wpakowała to, co było pod ręką... Wybiegła z domu, w przedpokoju krzyknęła tylko: „oszukaliście mnie, nie chcę was znać!".

Było popołudnie. Ludzie wracali z pracy. Na ulicy panował hałas spotęgowany sygnałami przejeżdżającego ambulansu. Niewielkie krople deszczu uderzały w twarz. Iwona nieco ochłonęła. Co teraz – myślała – co ja mam zrobić? Gdzie właściwie jest mój dom? Kim jestem? Wyjęła z kieszeni pośpiesznie schowany dokument. Siadła na mokrej ławce. Jeszcze raz zaczęła go czytać. Muszę pojechać tam, gdzie się urodziłam! Może odnajdę tę moją matkę? Kim jest? Myśli zaczęły znów kłębić się w głowie dziewczyny.

Zbliżała się noc. Iwona przypomniała sobie niedawno poznaną koleżankę, już studentkę, która mieszkała w wynajętym mieszkaniu. Zatrzymała się u niej.

Następnego dnia wybrała się do miasteczka, skąd prawdopodobnie pochodziła. Była to mała miejscowość, prawie na granicy polsko-białoruskiej. Szukała nazwiska matki w starej książce telefonicznej, pytała w opiece społecznej, trafiła także do szpitala, gdzie się urodziła. Nigdzie nie uzyskała żadnej konkretnej informacji.

Gdy zrezygnowana siadła na ławce przy wejściu do szpitalnej izby przyjęć, podeszła do niej starsza kobieta. Słyszała, o co pyta. Okazało się, że jest salową. – Znam twoją matkę – powiedziała. – Gdy cię urodziła, była bardzo młoda, jeszcze się uczyła. Teraz ma męża i dwoje dzieci.

Te słowa zakłuły boleśnie. W Iwonie zaczęły krzyczeć myśli: „Ma inne dzieci! One są z nią! Ich nie oddała!". Rozmówczyni nie wiedziała, gdzie teraz mieszka matka, a może nie chciała powiedzieć. Iwona wróciła do koleżanki. Pieniądze kończyły się. We śnie i na jawie słyszała słowa kobiety: „ona ma dwoje dzieci". Zapragnęła zburzyć ten ich rodzinny spokój. Wykrzyczeć w twarz matce, że jest okrutna.

Rozterki Iwony starał się zrozumieć Hubert – młody sprzedawca z pobliskiego sklepu, którego poznała, siedząc na ławce przystanku autobusowego. Zaprzyjaźnili się. Chłopak zaopiekował się dziewczyną, przynosił coś do jedzenia.

Rodzice cały czas szukali córki. Zgłosili zaginięcie na policję. Rozpytywali znajomych. Jedna z koleżanek Iwony naprowadziła ich na ślad. Dziewczyna nawet nie chciała słyszeć o powrocie do domu.

Po paru miesiącach okazało się, że Iwona jest w ciąży. Ojcem dziecka był Hubert. Pobrali się. Na ślubie nie było Heleny i Tadeusza. Iwona nie chciała ich widzieć. Młodzi zamieszkali wspólnie z rodzicami chłopaka. Iwona urodziła córkę. – Czy będę dobrą matką? – zastanawiała się. – Czy mogłabym zostawić swoje dziecko? Co doświadczali moi rodzice, którzy mnie wychowywali? Co czuli, jak chorowałam? Czy cieszyli się, kiedy zaczęłam chodzić?

Iwona coraz więcej rozumiała. Nadal jednak nie mogła wybaczyć ani biologicznej matce, ani rodzicom. Helena i Tadeusz bardzo przeżywali to, co się stało z córką. Helena zaczęła chorować na serce. Tadeusz bał się o nią. Iwona, któregoś dnia zadzwoniła do rodziców. Słuchawkę podniósł ojciec. Wiedział, czuł, że to telefon od córki. Wykrzyczał: – Mama jest przez ciebie chora! Wracaj!

Ostatniego słowa Iwona nie usłyszała, rzuciła słuchawkę jakby parzyła. Czy tych troje ludzi kiedyś się pogodzi? Zrozumieją siebie? Wybaczą?

Po drugiej stronie...

Chwile, które dają siłę

Beata Ryń

Czasem dobierając dziecko do rodziny, czujemy niepokój o to, jak będzie się rozwijało. Ale okazywana mu miłość i ciepło sprawiają, że ono rozkwita. Równocześnie mamy młodnieją, ojcowie emanują energią. Przychodzą do nas rozpromienieni, z dzieckiem, które jest w nich wręcz wklejone, szczęśliwe. To są chwile, które dają nam siłę, powodują, że wierzymy w sens naszej pracy – mówią Anna Sokołowska-Smołkowska oraz Beata Wieczorek w rozmowie z Beatą Ryń.

Anna Sokołowska-Smołkowska
Dyrektor Świętokrzyskiego Ośrodka Adopcyjnego, psycholog, pedagog, socjoterapeuta, oligofrenopedagog, specjalista w zakresie pomocy psychologiczno-pedagogicznej, posiada certyfikat uprawniający do szkolenia kandydatów na rodziców adopcyjnych i rodzin zastępczych.

Beata Wieczorek
Pedagog Świętokrzyskiego Ośrodka Adopcyjnego z 23-letnim doświadczeniem w pracy w ośrodku adopcyjnym; posiada certyfikat uprawniający do szkolenia kandydatów na rodziców adopcyjnych i rodzin zastępczych.

– Beata Ryń: Upłakałam się podczas naszych spotkań w Świętokrzyskim Ośrodku Adopcyjnym. Ale nie tylko ja. Jak to się dzieje, że po tylu latach tak trudnej pracy, wciąż jest w was tak wiele wrażliwości? Jak bronicie się przed wypaleniem?

– **Anna Sokołowska-Smołkowska:** Jedna osoba nie wytrzymałaby emocji, które się tu kłębią. W ośrodku tworzymy zgrany zespół, jesteśmy dla siebie wsparciem. Dużo ze sobą rozmawiamy, a jeśli sprawa jest trudna, kontaktujemy się także po godzinach pracy. Wynika to z poczucia odpowiedzialności i z wagi podejmowanych decyzji. Wspieramy się i rozumiemy.

Dzięki temu emocje rozkładają się na wiele osób. Przed wypaleniem zawodowym ratuje nas także to, że w tej pracy nie ma rutyny. Bezrefleksyjne przekładanie dokumentów mogłoby doprowadzić do wypalenia, ale nasza praca to coś zupełnie innego. W ośrodku adopcyjnym dokumenty są konieczne, ale nie są na pierwszym planie. Każda historia jest inna, inne są przeżycia i towarzyszące emocje. U nas nie ma gotowych scenariuszy.

– Usłyszałam kiedyś od Pań, że „my tutaj nie dopasowujemy papierów do papierów, tylko rodzinę do dziecka". W jaki sposób to robicie?

– **Beata Wieczorek:** Nasze działania są dwutorowe. Z jednej strony poznajemy dziecko, staramy się określić jego potrzeby i specyfikę rozwoju, a z drugiej – poznajemy kandydatów.

Pierwszym krokiem przyszłych rodziców adopcyjnych jest umówienie się na spotkanie informacyjne. Przebieg spotkania bywa różny, zależny przede wszystkim od potrzeb rodzin. Zdarza się, że osoby przychodzące do ośrodka mają szereg pytań związanych z procedurą adopcyjną. Częściej jednak wyrażają chęć wysłuchania informacji o wymaganiach. W czasie spotkania zapraszamy również do rozmowy na temat motywacji skłaniającej ich do przysposobienia i ewentualnych przyczyn, które nie pozwalają na posiadanie biologicznego potomstwa.

– To bardzo delikatny temat. Chyba nie każdego stać na taką otwartość?

– **B.W.:** To prawda, niemniej jednak ta kwestia w kontekście chęci stanowienia rodziny adopcyjnej dla dziecka osieroconego społecznie jest bardzo ważna. Oczywiście niczego nie narzucamy, rozmawiamy bardzo delikatnie.

– **A.S.-S.:** Warto podkreślić, że takie rozmowy nie są prowadzone sztampowo. To spotkania bardzo indywidualne, kameralne.

– Ale to dopiero początek drogi...

– **B.W.:** Kandydaci muszą skompletować konieczną dokumentację i dostarczyć ją do nas. Następnie odbywają spotkania z psychologiem, które pozwalają poznać cechy ich osobowości i uznać ich gotowość do bycia rodzicami adopcyjnymi. Pracownicy ośrodka odwiedzają także

kandydatów w ich domu. Kolejnym etapem jest kwalifikacja na szkolenie. Ma ono przygotować do pełnienia roli rodzica adopcyjnego. Na szkoleniu kandydaci mają okazję przekonać się, czy to jest dobry moment do podjęcia tak odpowiedzialnej decyzji. Poznają także specyfikę problemów, z jakimi mogą się spotkać. Rodzice otrzymują kwalifikację do bycia rodziną adopcyjną dopiero po ukończeniu szkolenia i uzyskaniu pozytywnej oceny zespołu specjalistów ośrodka.

– I dopiero wtedy zaczynacie szukać dla nich dziecka...

– **B.W.:** W czasie kilku miesięcy pracy z rodzicami poznajemy ich mocne strony, oczekiwania wobec dziecka, jego wieku i możliwej do zaakceptowania przez przyszłych rodziców jego sytuacji rodzinnej, zdrowotnej i rozwojowej. Zwykle mamy już wyobrażenie dziecka, które kandydaci mogliby przyjąć do swojego domu. Gdy więc otrzymujemy zgłoszenie dziecka, mamy dla niego wybraną grupę potencjalnych rodziców, którzy są w stanie podjąć się opieki nad nim. Doboru rodziny do konkretnego dziecka dokonujemy na posiedzeniu zespołu specjalistów ośrodka. Aby dobór był najwłaściwszy, skrupulatnie analizujemy sytuacje poszczególnych rodzin, cechy osobowościowe kandydatów oraz potencjalne możliwości zaspokojenia potrzeb danego dziecka w tej właśnie rodzinie.

– Każde dziecko, którego historię proponujecie rodzicom adopcyjnym ma swoją przeszłość. Zwykle trudną: to czasem dzieci chore, z dysfunkcjami albo po traumatycznych przejściach.

– **B.W.:** Nie jest tajemnicą, że do przysposobienia nie są zgłaszane dzieci z tzw. „dobrych domów". Rodzice mają tego świadomość. Otrzymują od nas wszelkie informacje o historii życia dziecka, o funkcjonowaniu jego rodziny biologicznej. Przekazujemy także informacje zdrowotne dotyczące samego dziecka i jego diagnozę psychologiczno-pedagogiczną. W związku z tym rodzice, którzy decydują się na adopcję, podejmują świadomą decyzję.

– Czy trafiają do Was dzieci, oddawane przez rodziców z biedy?

– **B.W.:** To mit. Nie ma takich dzieci. Sąd nie pozbawia władzy rodzicielskiej dlatego, że rodzina dysponuje niskim dochodem, lub w ogóle go nie ma. Braki finansowe czy miesz-

kaniowe tych rodzin to efekt wtórny innych poważnych trudności w sprawowaniu funkcji rodzicielskich.

– **A.S.-S.:** Trafiają do nas dzieci wolne prawnie. To sąd ocenia ich sytuację rodzinną i podejmuje decyzję o pozbawieniu rodziców władzy rodzicielskiej, ewentualnie przyjmuje jej zrzeczenie się. Tylko dzieci z uregulowaną sytuacją prawną mogą zostać zakwalifikowane do adopcji, a w konsekwencji można dokonać doboru odpowiedniej rodziny do ich przysposobienia. Warto podkreślić, że większość dzieci, które przebywają w pieczy zastępczej, nie spełnia tego warunku i w związku z tym nie mogą być adoptowane.

O fakcie przysposobienia ostatecznie decyduje sąd. Ośrodki adopcyjne przygotowują kandydatów na rodziców, diagnozują i kwalifikują dzieci, dokonują doboru rodziny do dziecka, a także kompletują stosowną dokumentację. Pomagają przyszłym rodzicom zredagować wnioski do sądów. Wydają opinię o kwalifikacjach rodzicielskich kandydatów oraz dotyczącą nawiązywania więzi między przyszłą mamą i przyszłym tatą a dzieckiem.

– Kilkumiesięczny proces przygotowywania się, szkolenie, rozmowy, trudne testy psychologiczne, spotkania z grupami specjalistów. Wydawałoby się, że po takiej weryfikacji kandydaci na rodziców adopcyjnych są zdecydowani i przygotowani na przyjęcie dziecka... Ale nie zawsze jest tak różowo.

– **A.S.-S.:** Czasem nie udaje nam się wszystkiego przewidzieć. A przecież nie podejmujemy decyzji szybko. Samo badanie psychologiczne kandydatów na rodziców odbywa się w oparciu o wiele narzędzi – to testy, obserwacje, rozmowy, wizyta w domu. Przy okazji obalę kolejny mit: nie rozpytujemy sąsiadów! Odwiedzamy rodzinę w domu, obserwujemy ją w jej naturalnym środowisku. Rozmawiamy ze wszystkimi domownikami. Nie jest także prawdą, że adoptować dziecko mogą tylko ludzie zamożni. Liczy się wiedza i gotowość do bycia rodzicem, to jest właściwy kapitał. Kandydaci nie muszą mieć przysłowiowej willi z basenem, jednak dziecko musi mieć zapewniony własny kąt. Podczas kolejnych spotkań w ośrodku poznajemy rodzinę, dowiadujemy się, jak wyglądają w niej relacje, jakim wartościom hołdują członkowie tej rodziny, jakie tradycje są u nich przekazywane z pokolenia na pokolenie... Dla

nas to istotna wiedza. Każdy z pracowników ma obowiązek spotkania się z kandydatami. Jesteśmy tylko ludźmi, jedna osoba może ulec emocjom, pierwszemu wrażeniu. Zaangażowanie kilku osób oddala ryzyko błędu. Daje możliwość głębszej analizy. Gdy zachodzi potrzeba, kandydaci uczestniczą w psychoterapii, na przykład z powodu konieczności przepracowania poczucia straty związanej z niemożnością posiadania biologicznego potomstwa.

– A mimo to kandydaci, wydałoby się zdecydowani, rejterują...

– **B.W.:** Momentem przełomowym jest perspektywa pierwszego kontaktu z konkretnym dzieckiem. Deklaratywnie kandydaci wykazują wielką gotowość do adopcji i jest to autentyczne. Gdy pojawia się konkretne dziecko, ze swoimi potrzebami, może wyzwolić się lęk, który czasami przewyższa gotowość do bycia rodzicem.

– **A.S.-S.:** Jeżeli uda nam się odpowiednio wcześnie zdiagnozować ten lęk, to niezwłocznie zaczynamy pracę z kandydatami na rodziców adopcyjnych, aby następnym razem, gdy przedstawiona zostanie możliwość kontaktu z kolejnym dzieckiem, sytuacja się nie powtórzyła. Rozumiemy poziom emocji, których doświadczają rodzice podczas pierwszego kontaktu. Jest ogromnie wysoki. Mają świadomość, że sami też są oceniani, boją się odrzucenia przez dziecko.

– Wiem, że bywają też sytuacje zupełnie odwrotne. Choćby ta, która wydarzyła się przed chwilą. Wróciły Panie ze spotkania z kandydatami na rodziców adopcyjnych wyraźnie wzruszone. Przyszły tata po zapoznaniu się z historią dziecka zadeklarował, że chce natychmiast jechać na spotkanie z „córką". Podjął decyzję, nie widząc jej, mając świadomość, że wymaga specjalistycznego leczenia medycznego.

– **B.W.:** To są chwile, które dają nam siłę, powodują, że wierzymy w sens naszej pracy. Często, oceniając sytuację dziecka, sami dochodzimy do wniosku, że może być trudno znaleźć mu rodziców adopcyjnych. Jednak jesteśmy zobowiązani do tego wysiłku. Reprezentujemy dziecko, kierujemy się jego dobrem i musimy podjąć się zadania znalezienia mu rodziny. Niektórzy kandydaci na rodziców adopcyjnych wykazują się zaskakującą dojrzałością, zrozumieniem historii dziecka, empatią i gotowością by za nim podążać i towarzyszyć na każdym etapie życia. Naszą

intencją jest zawsze jak najwłaściwszy dobór, aby rodzice i dziecko czerpali jak najwięcej radości z wzajemnego poznawania się, a w przyszłości – z budowania trwałej więzi emocjonalnej.

– **A.S.-S.:** W sytuacjach trudnych doborów, gdy mamy skomplikowaną sytuację zdrowotną dziecka, przyszli rodzice myślą zadaniowo. Zaczynają planować działania, które w przyszłości pomogą dziecku. Wrócę do początku naszej rozmowy i Pani pytania, jak bronimy się przed wypaleniem zawodowym. To między innymi poczucie satysfakcji, które czerpiemy z właściwego dobrania rodziny do dziecka.

– Jak to robicie, że potraficie zarekomendować rodzicom trójkę dzieci. Taka czereda potrafi narobić zamieszania w ustatkowanym życiu. Niewielu rodziców biologicznych decyduje się na tak liczną rodzinę.

– **A.S.-S.:** Udało nam się znaleźć rodziny nawet dla czwórki rodzeństwa. To kwestia autentycznej gotowości par do bycia rodzicami. Silną motywacją do podjęcia przez nich takiej decyzji jest niechęć do tego, aby rozdzielać rodzeństwo, które potem może się szukać. Sami także robimy wszystko, aby takich sytuacji było jak najmniej. Czasem wystarczy przedstawić historię rodzeństwa, pokazać, jak bardzo te dzieci są ze sobą zżyte. Nigdy jednak nie naciskamy na kandydatów, nie używamy sformułowań „musicie", „powinniście". Rodzice podejmują niezależną, świadomą decyzję. Coraz więcej rodziców, którzy zdecydowali się na przysposobienie jednego dziecka, prosi nas o kolejne. Wielu także deklaruje chęć przysposobienia od razu dwójki dzieci.

– Skąd rodzice adopcyjni wiedzą, że ich dziecku urodziło się rodzeństwo?

– **B.W.:** Tę wiedzą uzyskują od nas. Ustawa o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej narzuca na nas obowiązek przekazania informacji rodzicom adopcyjnym o przyjściu na świat rodzeństwa przysposobionego przez z nich dziecka, które jest wolne prawnie. A to oznacza, że rodzeństwo to może być adoptowane. Mieliśmy przypadek, że rodzice, przysposabiając dziecko, otrzymali informację o tym, że ma ono trójkę starszego rodzeństwa. Dzieci nie były wolne prawnie i nie wiadomo było, jak ułożą się losy tej rodziny, ale już wówczas rodzice za-

deklarowali, że jeżeli matka nie będzie mogła sprawować nad nimi opieki, to oni są gotowi na adopcję. Po dwóch latach otrzymali taką możliwość. Nie wahali się ani chwili. Powiedzieli: „Każdego dnia czekaliśmy, aż nasze dziecko otrzyma szansę na posiadanie rodzeństwa".

– Trudno znaleźć dom dla starszych dzieci? Dźwigają na swoich barkach bagaż trudnych doświadczeń dłużej niż młodsze.

– **A.S.-S.:** Mamy obowiązek pytania dziecka, czy chce być adoptowane. Szczególne znaczenie prawne ma odpowiedź dzieci trzynastoletnich i powyżej tego wieku. Często starsze dzieci nie chcą być przysposobione. Zwykle są już osadzone w rodzinach zastępczych, identyfikują się z nimi, swoich opiekunów traktują jak bliskich. Przechowują także w pamięci obraz swojej rodziny biologicznej, często z jej członkami intensywnie się kontaktują, choćby za pośrednictwem mediów społecznościowych. Dziecko w okresie dojrzewania ma już ukształtowane pewne wartości i przyzwyczajenia. Jest na etapie poszukiwania swojej tożsamości, dba o autonomię. To nie jest dobry moment na nawiązywanie więzi. W okresie dojrzewania, niezależnie od tego w jakiej rodzinie się wychowujemy, raczej następuje naturalne odseparowywanie się od rodziców. Oczywiście zdarzają się wyjątki. Sukcesem zwykle kończy się adopcja dzieci w wieku wczesnoszkolnym. Dzieci te są świadome swej sytuacji i bardzo wyczekują rodziny. Rodzicielstwo takie może dać bardzo wiele satysfakcji i radości.

– **B.W.:** Rodzice, którzy się do nas zgłaszają, otrzymują informację o wykazywanej przy doborze dziecka naszej dbałości o zachowanie odpowiedniej różnicy wieku pomiędzy nimi a dzieckiem.

– **A.S.-S.:** Czasem rodzice pragną adoptować starsze dziecko, ponieważ ono idealnie komponuje się z nimi i ich stylem życia. Jest mniej absorbujące, może włączyć się w ich aktywność, wyjeżdżać z nimi na wycieczki, realizować wspólnie pasje. Mamy taki piękny przykład: dziewczynka jest teraz w drugiej klasie szkoły podstawowej. Wspólnie z adopcyjną mamą uwielbiają podróżować. Potem odwiedzają nas, pokazują fotografie z wyjazdów, opowiadają o wspólnych przygodach, są razem bardzo szczęśliwe. Starsze dziecko zwykle jest świadome

faktu przysposobienia. Między nim a rodziną adopcyjną nie ma „tabu", a to dla rodziców adopcyjnych młodszych dzieci często jest dużym obciążeniem.

– **B.W.:** Pamiętam matkę, młodą kobietę, której przedstawiłyśmy możliwość adoptowania ośmiolatka. Po tym jak zapoznałyśmy ją z historią dziecka, odpowiedziała natychmiast: „chcę być jego matką, tak właśnie wyobrażałam sobie moje dziecko". Bardzo nas tym zaskoczyła, mogła być mamą każdego zgłoszonego do nas dziecka, niekoniecznie w tym wieku. Dziś tworzą wspaniałą rodzinę. Każde połączenie kończy się radością, jeżeli potencjalni rodzice adopcyjni są gotowi podążyć za potrzebami dziecka, stosownie do jego wieku.

– **A.S.-S.:** My jesteśmy adwokatami dziecka. Dla nas najważniejsze jest jego dobro. Chcemy dać mu uwagę, miłość i szczęście. Warunkiem szczęścia dziecka jest szczęście całej jego rodziny, bo przecież nie można dzielić się czymś, czego się nie ma. Rodzice adoptujący dzieci do siódmego roku życia posiadają prawo do urlopu rodzicielskiego. W przypadku dzieci starszych urlop nie przysługuje. W tej chwili jest przygotowywana nowelizacja ustawy, która być może da taką możliwość. Byłoby to bardzo dobre. Wiemy z doświadczenia, że potrzeba co najmniej roku, aby dzieci weszły w środowisko, a rodzice oswoili się z nową sytuacją. To jest szalenie ważne, aby mieli czas na nawiązanie więzi.

– Mimo że nie macie takiego obowiązku, opiekujecie się rodzinami adopcyjnymi długo po przysposobieniu dziecka. Służycie im radą i konsultacjami. Jeden z moich rozmówców, który miał doświadczenia z innymi ośrodkami, powiedział wręcz, że jesteście pod tym względem najlepsi w kraju.

– **B.W.:** To bardzo miłe usłyszeć coś takiego, chociaż w większości także inne ośrodki mają oferty postadopcyjne. Po przysposobieniu rodzina adopcyjna staje się rodziną naturalną i nie pobiera środków finansowych na utrzymanie dziecka. Funkcjonuje na takich samych zasadach jak rodzina posiadająca biologiczne potomstwo. Służymy rzeczywiście pomocą i wsparciem tym, którzy o tę pomoc się do nas zwrócą. W tym względzie jesteśmy bardzo otwarci; niemniej zdarzają się też rodziny, które po orzeczeniu adopcji nie podtrzymują kontaktu z ośrodkiem. Nie wyrażają chęci udziału czy to w grupie wsparcia, czy też w cyklicznie organizowanych dla dzieci i rodzin spotkaniach. Szanujemy każde stanowisko rodziny.

– **A.S.-S.:** Rodzice już podczas szkolenia otrzymują informację, że zawsze mogą na nas liczyć, otrzymać poradę, a w razie potrzeby uczestniczyć w psychoterapii. W ośrodku prowadzona jest także terapia integracji sensorycznej stymulująca rozwój dzieci. Rodziny mają wiedzę, że pracują tutaj specjaliści, którzy rozwiązywali już problemy podobne do tych, które ich nurtują. Obdarzają nas zaufaniem. Często przychodzą pochwalić się sukcesami dzieci. Wiedzą, że docenimy ich starania bardziej niż ktokolwiek inny, ponieważ znamy historię dziecka i wiemy, z jakiego punktu startowało. Czasem potrzebują tylko utwierdzić się w tym, że dobrze postępują. Bardzo ważne są również spotkania integracyjne, na które zapraszamy nasze rodziny. Rodzice upewniają się na nich, że jesteśmy blisko, a my z satysfakcją obserwujemy, jakie szczęśliwe stworzyli rodziny. Na ostatnim spotkaniu usłyszeliśmy od animatorki, która organizowała gry i zabawy, że jeszcze na żadnym takim wydarzeniu nie widziała tak wielkiego zaangażowania rodziców we wspólną zabawę z dziećmi.

– Jakie są najtrudniejsze momenty w Waszej pracy?

– **A.S.-S.:** Niezwykle trudnym momentem jest dla nas ten, gdy kandydaci na rodziców adopcyjnych wracają ze spotkania z dzieckiem i mówią „nie", rezygnują. To są dramatyczne chwile. Podobnie trudne są sytuacje, gdy przychodzi do ośrodka rodzeństwo w poszukiwaniu brata lub siostry, którzy przed laty zostali przysposobieni. Bardzo przeżywamy, że nie zawsze możemy pomóc. Bowiem aby się spotkać, potrzebna jest zgoda i gotowość obu stron. Zdarza się, że poszukiwany adoptowany nie wie o tym, że został przysposobiony. Trudno wówczas burzyć jego świat i życie całej rodziny. Bywa też, że poszukiwany nie chce kontaktu z rodziną biologiczną. Zawsze staramy się to sprawdzić, ale niestety nie w każdym przypadku jest to możliwe.

– **B.W.:** Dla mnie bezradność w znalezieniu rodziny dla dzieci w wieku szkolnym dysponujących np. świetnym potencjałem intelektualnym, bardzo pragnących rodziców i brak gotowości rodzin na przyjęcie takich dzieci. Większość kandydatów oczekuje dzieci młodszych.

– **A.S.-S.:** Szukamy w całym kraju, wydzwaniamy. Bez efektu. Dziecko jest pod opieką rodziny zastępczej, jedziemy do niego kolejny raz, a ono wita nas pytaniami: „Przywiozła mi pani rodziców?", „Kiedy mi pani znajdzie mamę i tatę?". A my jesteśmy bezsilne. Takie chwile bardzo się prze-

żywa. Bardzo trudna jest także sytuacja, gdy nie kwalifikujemy kandydatów. To się zdarza rzadko, ale jednak czasem musimy powiedzieć, że nie widzimy tych osób w roli rodziców adopcyjnych.

– Te sytuacje rekompensują jednak inne, prawda?

– **A.S.-S.:** Na przykład, gdy rodzice wracają do nas, trzymając w ręku postanowienie sądu. Rozpromienieni, z dzieckiem, które jest w nich wręcz „wklejone", szczęśliwe. Mamy młodnieją, ojcowie emanują energią. No i oczywiście dzieci, które przy nich zaczynają rozkwitać. Czasem dobierając dziecko do konkretnej rodziny, sami czujemy niepokój o to, jak będzie się rozwijało. Ale miłość i ciepło sprawiają, że dziecko zaskakuje wszystkich. I nie ma na to naukowego wytłumaczenia. Między innymi tak było w przypadku jednego z naszych dzieci. Gdy dziewczynka odwiedziła nas po trzech latach, byłyśmy zaskoczone jej przemianą. Dziecko jest wspaniałe. Ogromnym przeżyciem są dla nas także pierwsze kontakty kandydatów na rodziców z dzieckiem. Wzruszenie, czasem nawet łzy. Obraz klęczącej przy łóżeczku dziecka przyszłej mamy pozostaje w pamięci na zawsze.

– **B.W.:** Zjawiskowa jest też bezwarunkowa gotowość rodziców do przysposobienia dziecka. Emocje naszych kandydatów na rodziców adopcyjnych po otrzymaniu telefonu z ośrodka są chyba tożsame z tymi, które wyzwalają się w rodzicach przy narodzinach biologicznego potomstwa. Niektórzy płaczą ze szczęścia, inni przywołują przeczucia, sny sprzed lat.

– **A.S.-S.:** Gesty i zachowania dziecka, które dla rodziców biologicznych są naturalne, na przykład trzymanie za palec przez noworodka, kiedy budzi się on nagle podczas wizyty, uśmiecha – wszystko to rodzice adopcyjni odczytują jako znak, że oni i dziecko są dla siebie przeznaczeni. Niesamowitość takich chwil zwykle nam umyka, a dzięki rodzicom adopcyjnym, uczymy się je doceniać.

– **B.W.:** Rodzice bywają zmęczeni, ale nie wyobrażają sobie powrotu do życia sprzed adopcji. Czasem po kilku miesiącach pytają: Jak to jest? Dziecko ma pięć lat, a my czujemy się, jakbyśmy je mieli od urodzenia. Cudownie jest widzieć, że dziecko czuje tak samo.

– Dziękuję za rozmowę.

Świętokrzyski Ośrodek Adopcyjny działa od 1 stycznia 2012 roku. Statystycznie znajduje rodzinę dla jednego dziecka tygodniowo. Zatrudnionych jest tu sześciu psychologów, sześciu pedagogów, jeden psycholog i pedagog, przy czym czterech pracowników posiada certyfikat psychoterapeuty rodzinnego, dwóch – terapeuty integracji sensorycznej, sześciu ma uprawnienia do prowadzenia szkoleń dla kandydatów na rodziców adopcyjnych i rodziców zastępczych.

Adres: 25-516 Kielce, al. IX Wieków Kielc 4
Telefony: 41 248 17 00, 41 362 61 89, 41 362 59 25 fax 712
Strona internetowa: adopcjakielce.wrota-swietokrzyskie.pl

Bajki napisane przez kandydatów na rodziców adopcyjnych dla swoich przyszłych dzieci

„Bajka o naszym Promyczku"

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami, była sobie kraina zwana Lovelandią. W krainie tej żyły sobie zwierzątka, które umiały mówić. W koronach olbrzymich zielonych drzew, w swoich maleńkich przytulnych domkach mieszkały skrzydlate wróżki.

Na błękitnym niebie latały kolorowe ptaki i przyjazne smoki. To była cudowna kraina. Zawsze świeciło tam słońce i kwitły kwiaty. Zwierzątka żyły sobie beztrosko ze swymi rodzinami, spędzając czas na zabawie. Biegały po łąkach pełnych stokrotek, pluskały się w błękitnych strumykach i wylegiwały w cieniu soczyście zielonych drzew. Wszystko było takie cudowne.

Niestety, pewnego dnia, nie wiadomo skąd, pojawił się stary, brzydki i zły czarodziej Darkness. Rozejrzał się dookoła i powiedział:

– O nie, nie. Tu nie może być tak pięknie. Abrakadabra, czary mary, niech na tę Lovelandię spadną senne mary.

Od tej pory w krainie było coraz gorzej. Ciemne chmury przykryły niebo i nie było widać słońca. Zwierzątka musiały pracować, żeby wykarmić swoje dzieciaczki. Czar działał, ale czarodziej nie mógł zmienić jednego... Zwierzątka nadal bardzo się kochały i były szczęśliwe. Czarodziej nie mógł tego znieść.

– Co ja mam zrobić? Dlaczego oni nadal tak się kochają i są szczęśliwi?!!!

Myślał, myślał i myślał, rzucał zaklęcia, ale nic nie pomagało.

Aż w końcu powiedział:

– Może inni czarodzieje mi pomogą!

Szybko poleciał na magicznej miotle do zamku złych czarodziei.

– Co zrobić, żeby mieszkańcy Lovelandii nie byli tacy szczęśliwi?

– Ja wiem, ja wiem – powiedział zły czarownik Infertility.

– Zaczaruję ich, żeby nie mogli mieć dzieci.

– A ja zaczaruję tych, co mają już dzieci, żeby nie mogli opiekować się nimi – powiedział inny.

I tak zrobili.

Żył sobie w lesie skrzat Tomi ze swoją żoną Agi-Bagi. Bardzo się kochali, byli dobrzy dla innych, pomagali zwierzątkom i leśnym duszkom. Skrzatki pracowały i pracowały, aż zbudowały piękny domek. Zgromadziły zapasy jedzenia i powiedziały:

– Teraz mamy już wszystko, co potrzebne, żeby naszym dzieciaczkom dać ciepło i miłość.

– Chyba już pora, żebyśmy mieli małe skrzatki – rzekła Agi-Bagi.

– O tak, moja najdroższa – potwierdził Tomi.

Starali się z całych sił, czekali i czekali, ale małych skrzatków nie było. Mijały dni, tygodnie, miesiące i lata. Nie wiedzieli, co robić, byli coraz bardziej smutni i bezradni. W końcu poszli pod stary, wielki dąb, gdzie mieszkały dobre duszki.

– Duszki nasze kochane, powiedzcie, czemu nie mamy małej córeczki?

– To zły czarodziej Infertility rzucił czar na twoją żonę Agi-Bagi i ciebie, Tomi. Jesteście chorzy, choć nic was nie boli.

Skrzatki strasznie się zmartwiły, po czym Tomi zapytał:

– To co teraz możemy zrobić?

– My nie możemy wam pomóc.

Skrzatki posmutniały jeszcze bardziej.

– Ale jest pewien sposób – powiedziały duszki.

– Jaki, jaki? – zapytali Agi-Bagi i Tomi.

– Ale to nie jest łatwy sposób...

– To nic, to nic. Co mamy zrobić?

Musicie udać się na drugi kraniec lasu. Jest tam drzewo, na którym jest bocianie gniazdo, a w konarach mieszkają wspaniałe skrzydlate wróżki. I tylko one mogą wam pomóc.

Tata skrzat od razu wyruszył w podróż. Niełatwo mu było znaleźć to drzewo, więc co tydzień wyruszał w podróż, nie zważając na trudy. Po wielu tygodniach podróżowania wreszcie odnalazł magiczne drzewo. Faktycznie mieszkały w nim wróżki Careuszki, było ich chyba ze trzynaście. Były bardzo mądre, dobre i uwielbiały pomagać innym, a szczególnie dzieciom. Tomi i Agi-Bagi opowiedzieli swoją historię. Wróżki się zmartwiły i powiedziały:

– Nie możemy zdjąć czaru, ale mamy inne rozwiązanie.

– Jakie? – zapytała Agi-Bagi.

– Otóż źli czarodzieje, Drag i Drunkard, zaczarowali rodzinę krasnoludków.

– Jak to? – zdziwił się Tomi.

– Mama i tata krasnoludki kochają swoją córeczkę, której na imię Promyczek, jednak nie mogą się nią zająć.

– Czemu? – zapytał Tomi.

– Są bardzo biedni i przerażeni. Mama krasnoludkowa jest bardzo chora, a tata krasnoludek napił się gorzkiego napoju, który zatruł czarownik Drunkard.

– O nie – zmartwiły się nasze skrzatki.
– Ale najgorsze jest to, że Promyczek jest bardzo smutny i wystraszony, bo jej rodzice weszli do ciemnego lasu, zabłądzili i chyba już nigdy się nie odnajdą.
– Może ich znajdziemy i pomożemy wrócić do Promyczka!
– Niestety nie możecie. Las jest tak ciemny, że sami zabłądzicie i nie odnajdziecie drogi.
– Tak nam smutno, chcemy pomóc Promyczkowi, ale my jesteśmy skrzatami, a Promyczek to dziewczynka krasnoludek. Jak możemy być jej rodzicami? – zastanawiały się zatroskane skrzaty.
– Nie martwcie się tym, pozwólcie, żeby Promyczek urodził się w waszych serduszkach. Pokochacie ją z całych sił, a ona pokocha was i stanie się taka jak wy.

Skrzaty zgodziły się od razu i razem z wróżkami wybrały się do Promyczka. Kiedy Agi-Bagi i Tomi ją zobaczyli, natychmiast ją pokochali. Była taka cudowna i wyjątkowa, ale bardzo się bała i smuciła. Najgorsze było to, że nie mogli od razu zabrać ze sobą Promyczka, bo w drodze do domu trzeba było przejść przez bardzo wąski most i bali się, że mały Promyczek spadnie.
– Co teraz zrobimy? – zapytali zasmuceni.
– Nie martwcie się, coś wymyślimy – odpowiedziały wróżki.
– Wracajcie do domu i czekajcie.

Skrzatki posłuchały swych nowych przyjaciółek, a one pospiesznie udały się do drzewa, w którym mieszkały. Machając swymi małymi skrzydełkami pomiędzy liśćmi i konarami, poleciały na sam szczyt magicznego dębu, gdzie w gnieździe mieszkała stara poczciwa królowa bocianów o imieniu Adopcja.

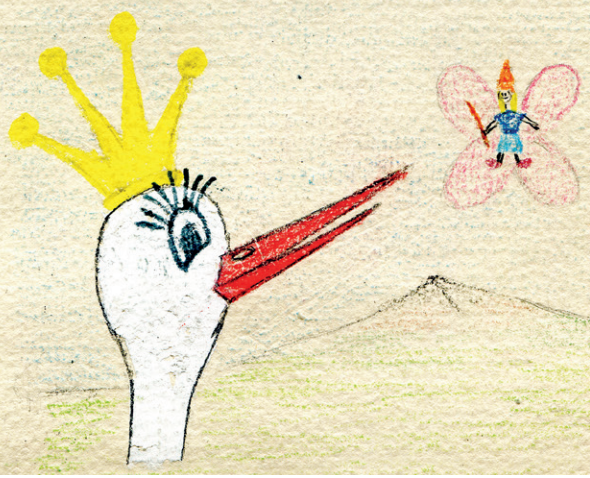

– Hej, królowo Adopcjo, musisz nam pomóc!

– O co chodzi, moje drogie wróżki?

– Tomi i Agi-Bagi czekają na Promyczka, a ona na nich. Owiń tego małego krasnoludka w pieluszkę, weź w dziób, i pofruń z nią do jej nowego domu.

– Bardzo chętnie – zaklekotała dziobem Adopcja.
Zatrzepotała skrzydłami i natychmiast wzbiła się w powietrze.

Tymczasem Agi-Bagi i Tom wyczekiwali z niecierpliwością na swoją dziecinkę. Aż nagle spojrzeli w niebo i zobaczyli, że ktoś nadlatuje. To była Adopcja, już leciała, a wraz z nią ich ukochany Promyczek, który rozświetlał zachmurzone niebo. Bardzo się ucieszyli i podziękowali królowej bocianów.

Rodzice bardzo kochali Promyczka i troszczyli się o nią, ale ona nadal była zaczarowana. Bardzo się bała i była troszkę smutna, a jej blask przygasał. Wtedy Agi-Bagi i Tomi przytulili swoją córeczkę bardzo, bardzo mocno i powiedzieli, że jest dla nich NAJWAŻNIEJSZA na świecie, że jest ich NAJWIĘKSZYM DAREM i NAJWIĘKSZĄ RADOŚCIĄ. Nagle Promyczek poczuła się bardzo bezpieczna i szczęśliwa. I w tym momencie zły czar prysł... Zobaczył to czarownik Darkness. Strasznie się zdenerwował i odleciał tam, skąd przyleciał.

A Promyczek była już na zawsze ze swoimi rodzicami, przegoniła ciemne chmury i swą radością rozświetliła niebo Lovelandii. Została jego nowym słońcem, tak była wspaniała. Zwierzątka były znów szczęśliwe, a Promyczek ze swoją kochaną mamą Agi-Bagi i kochanym tatą Tomim żyli długo i szczęśliwie. Bardzo się kochali i często przytulali.

Dobranoc, kochany nasz Promyczku...

Bajka o małej Żyrafie

Za górami, za lasami w Smutolandii żyła mała smutna Żyrafa, która nie miała cętek. Czuła się bardzo samotna pomimo tego, że otaczało ją wiele zwierząt. Jej rodzice nie potrafili się nią zajmować, sami nie radzili sobie ze swoim życiem, często się złościli i na nią krzyczeli.

Żyrafka czuła się tak, jakby była nikomu niepotrzebna. Ale jej największym zmartwieniem był brak pięknych brązowych cętek, przez co niektóre zwierzątka przezywały ją wielbłądem z długą szyją zamiast garbów.

O problemach małej Żyrafy dowiedział się Król Lew, który dbał, żeby wszystkim zwierzętom w jego królestwie żyło się dobrze, panowała wśród nich harmonia, wzajemna życzliwość i żeby żadne, ale to żadne zwierzątko, nawet najmniejsze, nie było smutne. Król Lew uznał, że musi dołożyć wszelkich starań, żeby na twarzy małej Żyrafki znów pokazał się uśmiech. Dlatego do pomocy wyznaczył specjalistkę do trudnych spraw – Panią Królikową, która słynęła na całą okolicę, że pomoże każdemu w potrzebie. Pani Królikowa udała się z wizytą do małej Żyrafy, żeby sprawdzić, co się dzieje. Niestety, wszystkie najsmutniejsze informacje potwierdziły się. Z bólem serca prze-

kazała złe nowiny Królowi. Opowiedziała mu o problemach małej Żyrafki i razem postanowili jak najszybciej je rozwiązać.

Król Lew poprosił Panią Królikową, żeby poszukała nowych opiekunów dla małej Żyrafki, którzy otoczą ją opieką i będą kochać pomimo braku cętek. Jednocześnie zaznaczył, żeby bardzo dokładnie przemyślała wybór nowych opiekunów, ponieważ Żyrafka to bardzo wyjątkowe zwierzątko i zasługuje na to, co najlepsze.

Pani Królikowa ucieszona z decyzji Króla Lwa rozpoczęła poszukiwanie kandydatów na nowych rodziców dla Maleństwa. Była ona bardzo skrupulatna w swoich poszukiwaniach. Sprawdzała kandydatów, poddawała ich próbom, aż w końcu wybrała. Swoją decyzję oznajmiła Królowi, któremu bardzo spodobał się jej wybór.

Była to para żyraf, która mieszkała w bardzo ładnym miasteczku Kielcolandzie i opiekowała się malutkim pieskiem Emirkiem. Bardzo go kochali, ale zawsze marzyli żeby w ich domu zamieszkała mała Żyrafa. Pani Królikowa oznajmiła im, że ich marzenie może się spełnić. Serca pary żyraf podskoczyły z radości do góry. Nie wierzyli w swoje szczęście.

Mała Żyrafka była bardzo niepewna, poznając swoich przyszłych opiekunów. Po kilku spotkaniach czuła się w ich towarzystwie coraz lepiej. Okazywali jej wiele miłości, uwagi, a co najważniejsze, nie przeszkadzało im, że nie ma cętek. Postanowiła, że zgodzi się z nimi zamieszkać.

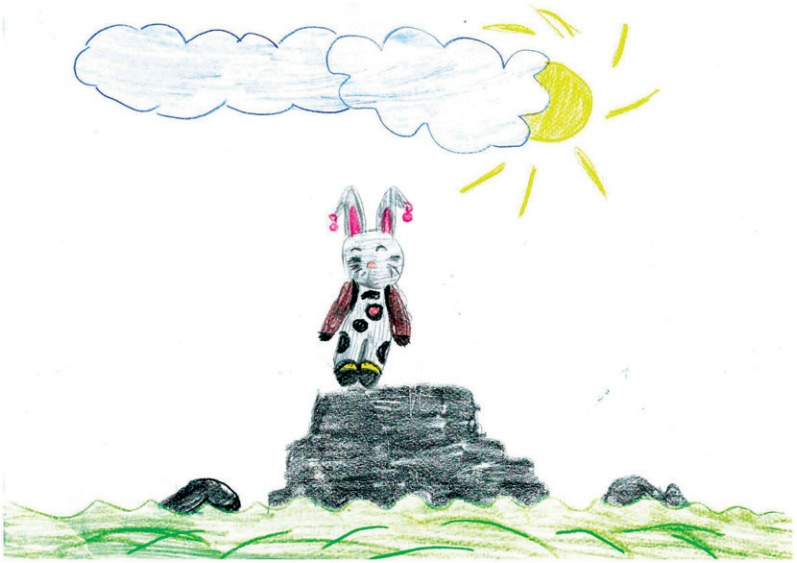

Nowy domek bardzo jej się podobał, było w nim kolorowo, słonecznie i pachniało domowym ciastem. Miała swój pokoik wypełniony zabawkami, dostała nowe ubranka i zawsze miała co jeść. Bardzo lubiła się bawić z małym pieskiem, który uwielbiał być przez nią głaskany po grzbiecie.

Mała Żyrafka czuła się szczęśliwa, otoczona troską i miłością. Razem z Mamą Żyrafą bawiła się i poznawała świat. Piekły ulubione rodzynkowe ciasteczka oraz gotowały obiady. Tata Żyrafa zawsze czytał jej bajki do snu, wygłupiał się z nią i poświęcał jej każdą wolną chwilę.

Ku wielkiemu zdziwieniu małej Żyrafki zupełnie niezauważalnie pojawiły się na jej futerku cętki, o których marzyła.

Żyrafka wyrosła na piękną, pewną siebie żyrafę i bardzo pokochała swoich żyrafowych rodziców oraz swojego kompana zabaw – pieska Emirka.

W krainie Skrzatów

Bardzo dawno temu w pomarańczowym domku z brązowym dachem mieszkała rodzina Skrzatów. Dolina, w której był położony ich domek, była bardzo piękna. Z jednej strony były góry, z których rozprzestrzeniały się przepiękne widoki na pobliskie okolice. Niedaleko znajdował się wodospad ze strumykiem, a z drugiej strony – las z bujną roślinnością i ogromnymi, bardzo smacznymi jagodami i poziomkami. Skrzaty były bardzo lubiane przez różne zwierzątka leśne, ponieważ zawsze można było na nich liczyć i zawsze znajdowały czas, by pomagać innym.

W okolicy, w której mieszkały Skrzaty, bardzo często organizowane były różnego rodzaju spotkania oraz zabawy z zawodami i konkursami rodzinnymi. Skrzaty lubiły chodzić na takie spotkania, ale po jakimś czasie zrobiło im się bardzo przykro, że dużo znajomych przychodzi ze swoimi dziećmi, a oni, niestety, ciągle są sami. Pewnego dnia Skrzaty postanowiły rozwiązać ten problem. Poprosiły Wróżkę, aby wyczarowała im dzieci, ale niestety Wróżka odpowiedziała, że nie może tego dla nich zrobić. Skrzatom zrobiło się bardzo smutno. Wróżka doradziła im, aby sami zaczęli szukać dzieci, bo gdy będą naprawdę tego mocno chcieć, to na pewno się uda i zostaną rodzicami. Skrzaty od razu zaczęły poszukiwania. Podróżowały po całym kraju w poszukiwaniu swoich dzieci.

Tak mijały tygodnie, miesiące, lata, a nadzieja Skrzatów na znalezienie swoich dzieci i bycie rodzicami była coraz mniejsza. W domku Skrzatów był już pokój, w którym w przyszłości miały zamieszkać ich dzieci. Pomieszczenie to było ciągle szare, nawet jak na dworze świeciło piękne słoneczko. Pewnego dnia Skrzaty postanowiły pomalować ten pokój na kolorowo, ale to nic nie pomogło, bo gdy tylko ściany wyschły, z powrotem robiły się szare. Gospodarze nie dawali za wygraną, malowali od nowa, jednak za każdym razem sytuacja powtarzała się. Nie wiedząc czemu tak się dzieje, Skrzaty udały się do Starca, który mieszkał w chatce na najwyższym szczycie góry. Starzec ten posiadał ogromną wiedzę na przeróżne tematy i gdy tylko skrzaty opowiedziały, co się dzieje z ich pokojem, stwierdził, że w tym pokoju mieszka

smutek i jak tylko będą prawdziwie szczęśliwi, to pokój ten będzie najpiękniejszym miejscem w całym domu. Było to dla nich niezrozumiałe, bo byli ze sobą już bardzo długo i byli bardzo szczęśliwi, że są razem.

Pewnego pięknego letniego dnia do drzwi Skrzatów zapukał bardzo zdyszany i przestraszony Króliczek. Gdy otworzyli mu drzwi, zaraz opowiedział im przygodę, która go spotkała. Wracając przez las od swoich znajomych, usłyszał dziwne odgłosy wydobywające się z pobliskich zarośli. Nie wiedząc, kto wydaje takie dźwięki, przestraszony postanowił poprosić Skrzaty o pomoc. Skrzaty razem z Króliczkiem pospieszyły to sprawdzić. Po wielkich zmaga-

niach z olbrzymimi jagodami i gęstymi zaroślami dotarli do miejsca, z którego było słychać te odgłosy. Ku swemu zdumieniu ujrzeli dwa małe Skrzatki, które, nie mogąc wydostać się z gęstych zarośli, zaczęły szlochać. Zapytane o rodziców, powiedziały, że ich nie mają. Już dawno ich nie widzieli i nawet ich nie pamiętają. W tym momencie Skrzaty przypomniały sobie słowa Wróżki i od razu zapytały dzieci, czy chcą zamieszkać w ich domu i mieć nową mamę i nowego tatę. Małe Skrzatki bardzo się ucieszyły, ich minki od razu się rozweseliły.

Po długiej wędrówce dotarli w końcu do celu, tylko rodzice nie wiedzieli, jak powiedzieć dzieciom, że ich pokój jest szary i smutny. Niepewnym krokiem weszli do domu. Kiedy jednak otworzyli drzwi, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu zobaczyli, że pomieszczenie było niesamowicie kolorowe. Ściany były pomalowane w przepiękne, żywe barwy. Stały tam dwa łóżeczka, szafki, na których znajdowało się mnóstwo zabawek, misiów i książeczek. Przez uchylone okno wpadały promienie słońca, tęczowe motyle wlatywały i wylatywały, a ptaszki przepięknie ćwierkały.

Rodzicom małych skrzatów od razu przypomniały się słowa Starca i już teraz zrozumieli, co miał on na myśli, mówiąc o prawdziwym szczęściu. Od tamtej pory cała czwórka żyła bardzo długo i szczęśliwie.

Kruszynka, srebrzysta Gwiazda i kapitan Pimpuś

Za górami i lasami, całkiem, całkiem niedawno, w małym miasteczku żyło małżeństwo. Mąż Paweł i żona Agata bardzo się kochali i pragnęli zostać szczęśliwymi rodzicami. Czekali, czekali, ale upragnione dziecko nie pojawiało się. Było im bardzo smutno i dziwili się ogromnie, ponieważ zawsze czuli, iż będą mieli wspaniałą córeczkę – ich Kruszynkę.

Pewnego wieczoru Agata spojrzała w niebo i zobaczyła piękną srebrzystą Gwiazdę.

– Gwiazdko, bardzo Cię proszę... Jesteś wysoko na niebie i widzisz cały świat. Zobacz, czy nie ma tam mojej Kruszynki; pomóż nam ją odnaleźć i sprowadzić do domu – powiedziała.

Srebrzysta Gwiazda usłyszała prośbę i postanowiła pomóc małżeństwu. Przemierzyła całe niebo wzdłuż i wszerz, aby odnaleźć ich zagubioną Kruszynkę. Pewnego wieczoru dostrzegła w oknie dużego domu małą dziewczynkę o smutnych oczach wpatrzonych w niebo.

Dziewczynka spojrzała na gwiazdkę i zapytała:

– Gwiazdko, nie wiesz, gdzie są moi rodzice? Proszę, pomóż im mnie odnaleźć.

Wtedy Gwiazdka zrozumiała, iż właśnie znalazła Kruszynkę – zaginioną córeczkę Agaty i Paw-

ła. Mało kto o tym wie, ale wszystkie gwiazdy mają na ziemi magicznych pomocników, a są nimi koty. Gwiazda wezwała jednego z nich, kapitana Pimpusia, i powiedziała:

– Kapitanie, mam dla ciebie ważne zadanie. Proszę, udaj się do domu Agaty i Pawła. Przekaż im, że odnalazłam ich córeczkę, która czeka na nich w tym oto dużym domu i pokaż, gdzie mieszka dziewczynka.

Kapitan wyruszył natychmiast, ale kiedy dotarł do miasteczka i znalazł dom Agaty i Pawła, zdarzył się wypadek. Nagle zza zakrętu nadjechał rozpędzony samochód i kot nie zdążył przed nim uciec.

Akurat przechodził tamtędy Paweł. Znalazł rannego kota i zabrał go do domu. Razem z Agatą opiekowali się nim najlepiej jak umieli, a ponieważ kot stracił w wypadku ząbka, nazwali go Dracula. Niestety, wypadek spowodował utratę pamięci i kapitan Pimpuś zapomniał o swoim zadaniu.

Minęło sporo czasu, aż pewnej gwieździstej nocy, kiedy kot wylegiwał się w oknie, pojawiła się srebrzysta Gwiazda i zawołała:

– Kapitanie, przypomnij sobie, kim jesteś. Maleńka córeczka Agaty i Pawła wciąż czeka na swoich rodziców.

Kot natychmiast odzyskał pamięć i pobiegł do ich sypialni, a że był środek nocy, wyszeptał im do ucha, że ich ukochana Kruszynka wciąż czeka na nich. Następnie pokazał im, jak do niej dojechać.

– Jeszcze jedno, ja nie jestem żaden Dracula! Ja jestem kapitan Pimpuś! – wyjaśnił na koniec.

Rano, gdy tylko Agata się obudziła, powiedziała do męża:

– Wiesz, miałam dziwny sen, przyśniła mi się nasza Kruszynka. Widziałam nawet dom, w którym mieszka.

Mąż roześmiał się.

– To dziwne, ja miałem taki sam sen.

Spojrzeli na siebie i już wiedzieli, że ten magiczny sen to po prostu prawda i że już wiedzą, gdzie szukać córeczki.

Tak właśnie dzięki pomocy magicznej Gwiazdki cała rodzina mogła się połączyć i żyć razem długo i szczęśliwie. A srebrzysta Gwiazda w nagrodę za dzielną służbę pozwoliła Pimpusiowi zamieszkać z nimi, aby opiekował się Kruszynką i aby już nigdy nic nie rozdzieliło rodziny.

Lawendowy Zamek

Dawno, dawno temu, a może nie tak dawno... Za wielkim lasem, a może wcale nie takim wielkim... Pod wielką górą, która na swym zboczu miała tyle kamieni, że żaden człowiek nie był w stanie tego zliczyć, znajdował się Lawendowy Zamek.

Mieszkali w nim Król i Królowa, którzy byli bardzo dobrymi ludźmi. W ich królestwie panował ład i porządek. Królowa uwielbiała piękne stroje i wytworną biżuterię, świetnie gotowała i bardzo lubiła organizować uczty dla swych przyjaciół. Król znany był ze swych zdolności zarządzania królestwem i ogrodem.

Małżonkowie bardzo się kochali i uwielbiali spędzać ze sobą każdą chwilę, jednak z czasem czuli, że czegoś im brakuje. Lawendowy Zamek zaczął szarzeć, a ogród nie kwitł już tak jak kiedyś. Oboje uświadomili sobie, że to, czego im brakuje i co dałoby im radość, to mała Księżniczka, która wypełni zamek szczęściem i uśmiechem.

Przez kilka długich lat starali się o potomstwo. Bardzo bali się tego, że nigdy im się nie uda i będą sami, królestwo oraz poddani zostaną bez opieki, a zamek popadnie w ruinę. Samotność coraz bardziej dokuczała młodym małżonkom. Królowa często płakała, a Król coraz bardziej opadał z sił.

Rozgoryczony władca woził swą żonę do najlepszych lekarzy. Byli również u Wielkiego Maga, który miał zdolności uleczania, jednak nawet Mag nie był w stanie im pomóc. Czarodziej powiedział im, że są na świecie specjalne wróżki opiekujące się dziećmi, które są samotne, opuszczone lub straciły rodzinę i potrzebowały nowego domu oraz kochających rodziców.

Jeśli małżonkowie będą gotowi na adopcję i pewni swej decyzji, to wróżki ich odnajdą i złożą wizytę.

Kiedy coraz bardziej pogrążali się w smutku, nagle nad ich zamkiem, po kolejnej burzy, pojawiła się tęcza. Spośród kolorowych smug wyłoniły się dwie wróżki. Zdziwieni Król i Królowa spoglądali na nie bez ruchu.

W pewnym momencie jedna z nich rzekła:

– Królu i Królowo, wiemy, jak rozwiązać Wasz kłopot i sprawić, byście odzyskali szczęście w życiu, jednak nie będzie to taki proste.

Król i Królowa słuchali z zainteresowaniem.

– Co musimy zrobić, byście ziściły nasze marzenia? – zapytali.

– Jeśli spełnicie nasze warunki i wykonacie zadania, otrzymacie małą Księżniczkę, która będzie już zawsze Waszym ukochanym dzieckiem – odpowiedziały.

Król i Królowa zgodzili się, a wróżki zaprosiły ich do swego magicznego domku, by wszystko omówić.

Po pierwsze, małżonkowie powinni zapewnić małej Księżniczce odpowiednie warunki. Po drugie, muszą aktywnie brać udział w cotygodniowych zebraniach i naukach wróżek. Po trzecie, muszą sięgnąć głęboko do swych korzeni i zgromadzić imiona wszystkich swoich przodków, a następnie zapisać je na wielkim zwoju. Duża ilość obowiązków nałożonych przez wróż-

ki nie zniechęciła młodego małżeństwa. Ambitnie i skrupulatnie zaczęli wykonywać polecenia.

Król i Królowa ukończyli wszystkie zadania i czekali cierpliwie na wróżki. Mijały tygodnie, miesiące, aż nagle pewnego dnia na niebie pojawiła się gwiazda, świecąca jak żadna inna. Królowa czuła, że zwiastuje ona dobre wieści. Co wieczór gwiazda była coraz bliżej i świeciła coraz mocniej, a serce Królowej powoli wypełniało się nadzieją.

Pewnego wieczoru gwiazda zaczęła spadać w pobliże zamku. Małżonkowie wybiegli na dwór i zobaczyli ogromny blask, a wokół niego pojawiły się znane im już wróżki.

– Wypełniliście wszystkie nasze zadania – rzekły. – Udowodniliście, że jesteście gotowi przyjąć do swojej rodziny małą Księżniczkę.

Wtedy gwiazda zaczęła przygasać, a spod jej blasku wyłoniła się mała dziewczynka. Królowa nie mogła powstrzymać łez szczęścia, ale to były ostatnie łzy, jakie kiedykolwiek już uroniła. Władcy adoptowali dziewczynkę i od tego momentu stała się ich dzieckiem. Zyskała kochających rodziców, nowy dom, rodzinę i miłość. Król i Królowa zyskali córeczkę i powróciło do nich długo wyczekiwane szczęście. Ogród znów zaczął kwitnąć, a zamek odzyskał swoje lawendowe kolory. W królestwie znów zapanował ład i porządek.

Pomimo wielu przeszkód i problemów, które Król i Królowa napotkali w swym życiu, przekonali się, że każde marzenie może się spełnić, tylko czasami trzeba mu troszkę pomóc. I tak, dzięki pomocy dobrych wróżek, żyli w swym królestwie długo i szczęśliwie.

Spełnione marzenia

Dla rodziców szukających szczęścia,
Dla dzieci czekających na miłość.

Ta historia zaczęła się bardzo dawno temu.

W pewien jesienny dzień na drodze spotkało się dwoje młodych, ludzi chłopak i dziewczyna. On, dostojny książę, ona delikatna i wrażliwa, jak na księżniczkę przystało. Nawet nie zauważyli, że mała wróżka stała za drzewem z uśmiechem na twarzy. Za jednym machnięciem jej różdżki zakochali się w sobie. W tym momencie świat się dla nich zmienił. Z ponurego, zachmurzonego dnia przemienił się w ciepły wiosenny. Na niebie pojawiło się słońce, które rozgoniło szare chmury, w powietrzu fruwały motyle i było czuć woń kwiatów i ziół, które rosły wokół. Mimo młodego wieku miłość tych młodych ludzi była dojrzała.

Żyjąc w szczęściu i miłości, po kilku latach postanowili się pobrać i urządzić bal. Był to najwspanialszy dzień, w którym przybyło dużo gości z królestwa i okolicznych grodów. Uroczystość w kościele była piękna. Para wyglądała olśniewająco. Ona w białej jak śnieg sukni wyszytej diamentami, on w czarnym jak węgiel garniturze z czerwonymi jak róża dodatkami. Ślubu udzielało im dwóch księży.

Goście, życzliwi i uśmiechnięci, po ceremonii zaślubin składali młodej parze życzenia. Życzyli wszystkiego co najlepsze: miłości, szczęścia, reali-

zacji planów i spełnienia marzeń. Lecz nikt nie zauważył, że wśród gości znalazła się zła i zgorzkniała czarownica, której jako jedynej nie udzielił się nastrój uczestników uroczystości. Rzuciła ona na młodych złe zaklęcie: „będziecie się kochali, ale nie będziecie szczęśliwi, bo nie spełni się wasze największe marzenie i zawsze będziecie tylko we dwoje".

Nikt z zaproszonych gości nie mógł odczarować tego zaklęcia. Jego moc była bardzo silna. Młodzi się zaniepokoili i wystraszyli, uśmiechy z ich twarzy znikły.

Ale bal był już przygotowany, więc wsiedli do pięknie przystrojonej złotem karety, którą powoził uroczyście ubrany stangret. W zaprzęgu były najładniejsze konie z całego królestwa. W trakcie balu wszyscy zapomnieli o czarach, złej czarownicy i wytwornie się bawili. To był najlepszy bal, jaki został do tej pory zorganizowany w królestwie i okolicy.

Książę i księżniczka bardzo się kochali, przez lata realizowali swoje plany i spełniali marzenia. Mieli swój zamek, mieli swoje prace, w których się spełniali, mieli nawet wymarzonego psa, po którego jechali do sąsiedniego królestwa. Podróżowali nawet do bardzo dalekich królestw, chodzili na bale, spacery, ale brakowało im dziecka, które byłoby dopełnieniem ich miłości i szczęściem. Wtedy to przypomnieli sobie o klątwie jaka nad nimi ciążyła.

Aby ją zdjąć, chodzili do różnych wróżek i czarodziei, ale nikt nie był w stanie im pomóc. I tak mijały minuty, godziny, dni, tygodnie, miesiące i lata. W końcu trafili do domu czarodzieja Tomasza, który zajmował się zdejmowaniem złych uroków. Jeździli do niego przez kilka lat. Ale i on był bezsilny. I znowu mijał czas, a królestwo było pogrążone w smutku.

Aż pewnego dnia księżniczka poczuła jakieś dziwne ukłucie w sercu i nagle zrobiło jej się ciepło. Podzieliła się tym z księciem, a on powiedział, że jemu zdarzyło się to samo. W tej chwili oboje przypomnieli sobie o małym domku wróżek.

Przy pomocy magicznej mapy odnaleźli domek wróżek i udali się tam. Dobre wróżki były ciepłe i serdeczne. Jedna z nich, Wiesia, miło ich przywitała, a druga, Kasia, zaprosiła na rozmowę. Wtedy książę i księżniczka opowiedzieli o swoim zmartwieniu. A w ich sercach znowu coś się zadziało, czego jeszcze nie rozumieli. Wróżki z chęcią im pomagały, a jedna z nich o imieniu Monika nawet ich odwiedziła na zamku.

Pewnego dnia dobre wróżki wysłały posłańca, zapraszając na spotkanie księcia i księżniczkę, którzy bardzo się ucieszyli z zaproszenia. Gdy nadszedł wyczekiwany dzień i wybiła godzina, książę z księżniczką przybyli do domku dobrych wróżek. A tam, ku ich zaskoczeniu, spotkali jeszcze inne pary książęce, też poszukujące „szczęścia i swojego skarbu", który mogliby obdarzyć nadmiarem swojej miłości. Spotkania z wróżkami Beatą i Anią oraz wszystkimi parami trwały długi czas. Książę i księżniczka wraz z pozostałymi osobami w domku dobrych wróżek bardzo się wspierali i uczyli, jak się przygotować na pojawienie się dziecka w ich życiu.

Wróżki cały ten czas szukały sposobu na przełamanie złych czarów. Pewnego dnia spotkania się skończyły. Ale wróżki zapewniały, żeby nie tracić nadziei, że jeszcze będą najszczęśliwsi na świecie.

Znowu mijał czas. Książę i księżniczka żyli cały ten czas w miłości, a w królestwie nadal panował smutek.

Pewnego dnia, kiedy książę i księżniczka przebywali w podróży, zwiedzając coraz to bardziej odległe królestwa, do ich zamku zawitał posłaniec z zaproszeniem do małego domku w środku lasu na polanie pod sosnami, gdzie mieszkają elfy. Tam książęca para znajdzie swój długo oczekiwany skarb, dzięki któremu będzie bardzo szczęśliwa.

Książę i księżniczka natychmiast skrócili swoją podróż, kiedy ta wiadomość do nich dotarła. Udali się do domku elfów, w którym czekały na nich dwa małe bobaski. Wtedy odczu-

li w sercu ogromną radość. Od razu pokochali dzieci z wzajemnością. Zrozumieli, że serce przez cały czas im podpowiadało, że jeszcze będą bardzo szczęśliwi. Wiedzieli również, że odnaleźli swoje dzieci i że czary złej czarownicy przestały działać.

Od tamtej pory książę i księżniczka oraz ich dwa największe skarby są najszczęśliwszymi osobami na świecie, które bardzo się kochają i obdarzają ogromnym szacunkiem. Całe królestwo już opuścił smutek. W jego miejsce zagościła radość, która towarzyszyła im w dniu ślubu.

A zła czarownica nie wiadomo, czy ze złości, czy z zazdrości napuchła jak balon.

Mały Motylek

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami, za siedmioma rzekami w swoim małym domku mieszkała rodzina motyli: Mama Motyl, Tata Motyl i Mały Motylek.

Mały Motylek był najpiękniejszy w całej krainie. Miał bardzo piękne kolorowe skrzydełka, a kiedy nimi ruszał, lśniły w promieniach słońca. Motylek bardzo lubił latać ze swoimi rodzicami po świecie. Dzięki temu widział wiele pięknych rzeczy i zjawisk, mógł kąpać się w deszczu, kołysać na pękach kwiatów i poznawać świat.

Z biegiem czasu rodzice Małego Motylka przestali zabierać go na swoje wyprawy i mieli dla niego coraz mniej czasu. W końcu przestali się nim zajmować i o nim zapomnieli. Przez to skrzydełka Małego Motylka zaczęły zmieniać barwy, już nie były tak piękne jak kiedyś. Robiły się coraz bledsze, aż w końcu zszarzały. Motylek był coraz bardziej smutny i ponury. Czuł się bardzo samotny. Próbował znaleźć sobie przyjaciół i błąkał się po całej krainie.

Pewnego dnia napotkał na swojej drodze Ciocię Motyla, która zaprosiła go do swojego domu. Widziała, że Mały Motylek jest smutny i próbowała dowiedzieć się,

co go trapi. Po pewnym czasie Mały Motylek zaczął opowiadać jej, jak bardzo brakuje mu rodziców i radosnych podróży po innych krainach.

Ciocia chciała, aby Mały Motylek był szczęśliwy. Postanowiła zaprosić do siebie swoich przyjaciół. Była to rodzina motyli, która mieszkała na sąsiedniej łące. Przyjaciele Cioci bardzo lubili podróżować i od dawna szukali kogoś, kto zechciałby podróżować razem z nimi.

Rodzina motyli przyleciała więc do domu Cioci. Gdy spotkali Małego Motylka, od razu bardzo go polubili. Zauważyli, że jest bardzo ciekawy świata. Postanowili więc zaprosić go na wspólną wyprawę, żeby móc mu go pokazać.

Mały Motylek poleciał więc w podróż dookoła świata z rodziną motyli. Gdy tak fruwali nad różnymi krainami, Mały Motylek znów poczuł się szczęśliwy. Cieszył się, że znów może robić to, co kocha, że może kąpać się w deszczu, kołysać na pąkach kwiatów i poznawać świat.

Rodzina Motyli bardzo troskliwie się nim opiekowała i cieszyła się, że jest z nimi. Motylek był wesoły i wnosił dużo radości w ich życie.

Pewnego dnia rodzina motyli zaproponowała, żeby Mały Motylek został z nimi na zawsze. Gdy to usłyszał, bardzo się ucieszył. Z rodziną motyli było mu bardzo dobrze, czuł się bezpieczny i kochany, więc bardzo chętnie się zgodził, a rodzina motyli z ogromną radością przyjęła go do siebie. Był to najszczęśliwszy dzień w ich życiu.

Nazajutrz, kiedy Mały Motylek się przebudził, jego oczom ukazał się piękny widok. Jego skrzydełka nie były szare. Znów były kolorowe i mieniły się w słońcu tysiącami barw. Mały Motylek był bardzo szczęśliwy. Cieszył się, że znów ma tak piękne skrzydełka, jakich jeszcze nikt nigdy nie miał na świecie, że znalazł rodzinę motylków, która bardzo go pokochała.

Od tamtej pory nigdy nie rozstawał się z nowymi rodzicami i żyli razem długo szczęśliwie: On, jego Nowa Mama Motyl i Nowy Tata Motyl.

Spis treści

Wstęp 7

Podróż *Anna Sokołowska-Smołkowska* 11

Listy do matek 17

Dziecko za szybą – od oczekiwania do przysposobienia 27

Narodzeni na nowo Beata Ryń *29*

Przeznaczone i odnalezione Monika Rosmanowska *37*

Rodzicielstwo bez granic Monika Rosmanowska *43*

Dzieci z bajki Beata Ryń *49*

Czekając na drugie dziecko Monika Rosmanowska *57*

Miłość która umacnia 63

Mama wszystkich dzieci Beata Ryń *65*

Dorosłość 75

Niczego nie planuję Monika Rosmanowska *77*

Mam coś ważnego do zrobienia Monika Rosmanowska *81*

Historia zasłyszana 85

Historia zasłyszana Anna Sokołowska-Smołkowska *87*

Po drugiej stronie... 91

Chwile, które dają siłę Beata Ryń *93*

Bajki napisane przez kandydatów na rodziców adopcyjnych dla swoich przyszłych dzieci 105

Bajka o naszym Promyczku *106*

Bajka o małej Żyrafie *112*

W krainie Skrzatów *115*

Kruszynka, srebrzysta Gwiazda i kapitan Pimpuś *118*

Lawendowy Zamek *121*

Spełnione marzenia *124*

Mały Motylek *128*